POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — *Dnia 3-go kwietnia 1943r.* — **Rok V. Nr. 13**

ROYAL AIR FORCE

Chyba w żadnym z państw wojujących, lotnictwo nie ma tak wyjątkowego uznania i miłości, jak w Anglii. Wydaje się niekiedy, że lwia część starych, zakorzenionych uczuć narodowej dumy, jakimi przyzwyczajono się otaczać od wieków marynarkę, przenosi się na lotnictwo. Przyczyn tego należy szukać przede wszystkim w sukcesach lotnictwa. Bez R.A.F.'u byłaby niemożliwa ani Dunkierka, ani *Battle of Britain*, ani zatopienie "Bismarcka," ani Malta, and Dieppe, ani Libia. Odwrotnie, wszędzie tam, gdzie nie potrafiono zebrać i pchnąć do działań lotnictwa, ponoszono porażki, czy była to Norwegia, czy Singapore, czy Kreta.

Lotnictwo przerosło pokładane w nim nadzieje. Nie ma dziś gazety i komunikatu radiowego, w których nie było by wzmianki o lotnictwie. Słynne i kapitalne zdanie Churchilla o lotnictwie, które to zdanie jest tak wycezelowane i piękne, że zna je każde dziecko w Anglii i którego z tego powodu nie ma potrzeby tu powtarzać, odzwierciedliło z jednej strony głęboką prawdę, a z drugiej stało się wykładnikiem pojęć każdego obywatela o lotnictwie.

Lotnictwo angielskie, tak jak i cała zresztą Anglia, weszło do wojny nieprzygotowane. Najnowocześniejszymi samolotami bombowymi ciężkimi były wtedy "Whitley'e" i "Wellingtony," lekkimi — "Blenheimy," nadomiar sprzętu tego było bardzo mało. Dziedzina lotnictwa myśliwskiego przedstawiała się nieco lepiej. Reprezentowały ją "Spitfiry" i "Hurricany," te ostatnie jako sprzęt dominujący.

Anglicy jednak, rekordowo konsekwentny naród, umieli wyciągnąć wnioski z kampanii polskiej i obrony Warszawy, a następnie wnioski te wprowadzić w życie. Osiem miesięcy dzielące te wypadki od kampanii we Francji, pozwoliły im stworzyć przede wszystkim bardzo silne lotnictwo obronne, którego pazury tak mocno dały się we znaki "Luftwaffe" w pamiętnym sierpniu i wrześniu 1940 r.

Wbrew przekonaniu, panującemu na kontynencie, że Anglicy są ociężali w myśleniu i ustępują pod względem wynalazczości technicznej i udoskonalonych metod produkcji Niemcom, właśnie Anglicy w tej wojnie wykazali zdumiewające zdolności zarówno w przystosowaniu się do istniejących warunków i wymogów chwili, jak też w wynalazczości i budowie sprzętu pod kątem tego, co nastąpi, a więc sprzętu dla przyszłości. Cudownym takim wynalazkiem, który zbawił Anglię i bez którego RAF nie mógłby był tak działać, jak działał, było "*radiolocation*."

My Polacy jesteśmy skorzy do odsądzania Anglików od fantazji, gdyż u nas określa się mianem fantazji wszystko, co nierzeczywiste, nieżyciowe, jednym słowem, co przypomina mniej lub więcej piękne bzdury i bańki mydlane. Do tego rodzaju arabesek z tysiąca i jednej nocy Anglicy rzeczywiście nie bardzo się nadają ze swoim refleksyjnym i syntetycznym umysłem. Natomiast posiadają oni fantazję twórczą, której możemy im pozazdrościć.

Ta właśnie fantazja twórcza stworzyła swojego czasu czołg, a w wojnie obecnej system wykrywania samolotów w powietrzu na dużej odległości. Niestety podczas odwrotu we Francji jeden okaz tego wynalazku dostał się w ręce Niemiec. Było to oczywiście wystarczające, by Niemcy rozbudowały w lot sieć alarmową na całym kontynencie. Pomimo jednak tego, Anglicy w dziedzinie radiolokacji przodują nadal i są bezkonkurencyjni.

W rozbudowie RAF'u w obecnej wojnie można wyróżnić dwa okresy. Pierwszy jest nastawieniem myśli wynalazczej, organizacyjnej i całej produkcji w myśl wymogów doktryny obronnej. Cechuje ją jako wykładnik lotnictwo myśliwskie. To lotnictwo nie działa tu w wojnie ruchowej; prowadzi ono akcję z baz wyspy, stąd też wszystko urządza się i nagina do organizacji fortecznej.

Został położony silny nacisk na doskonałość i ilość samolotów myśliwskich, jak i pilotów. Praca z baz stałych wyłącza wszystkie kłopoty transportowe od baz do jednostek w polu. System ten pozwala na urządzenie niezwykle wygodnego życia dla personelu. Jest to jak gdyby normalne, pokojowe życie z pewnymi godzinami zastrzeżonymi dla prowadzenia wojny. Sieć łącznościowa została rozbudowana do takich granic, jakie by przedwojenni sztabowcy zaliczyli do utopii. Ogromny wysiłek położono na opracowanie typu samolotu myśliwskiego nocnego: "Defiant," dalej "Beaufighter," "Havoc" /ten ostatni jest samolotem amerykańskim, dostosowanym przez Anglików do walki w nocy/ i wreszcie "Mosquito." Równolegle rozbudowywano i udoskonalano artylerię przeciwlotniczą, reflektory, balony.

W tym pierwszym okresie stojącym wyraźnie pod znakiem lotnictwa myśliwskiego, lotnictwo bombowe zeszło na drugi plan. Nie można powiedzieć, by było ono zaniedbywane, bezsprzecznie jednak nie było faworyzowane, nie stojąc na liście potrzeb pierwszej kolejności. Zadania bombardowania robiły po dawnemu "Whitley'e" i "Wellingtony," a nowe prototypy bombowców: "Sterling," "Halifax," "Manchester" wchodziły do budowy w małych seriach, które nie mogły mieć żadnego wpływu na przebieg wojny.

Rozwodnienie "Luftwaffe" przez fronty rosyjski i afrykański, które z natury rzeczy dało więcej, niż półtora roku przerwy w bombardowaniach na dużą skalę wykonywanych przez Niemcy, pozwoliło Anglikom po nasyceniu lotnictwa środkami i sprzętem obronnym, przystąpić do planowań ofensywnych.

Tu zaczyna się drugi okres. Setki lotnisk bombowych zaczynają wyrastać jak grzyby po deszczu. Pojawia się niezwykle udany bombowiec nocny "Lancaster," który idzie do masowej produkcji zarówno w Anglii, jak i w Kanadzie. Polityka rządu zmierza do oparcia się w dziedzinie lotnictwa bombowego na potężnych cztero-silnikowych samolotach, zdolnych do przenoszenia znacznego ładunku bomb na duże odległości. Jako wsparcie lotnictwa bombowego nocnego, przybywa amerykańskie lotnictwo bombowe, typowo dzienne, również cztero-silnikowe /"Latające Fortece"/.

Od wiosny 1942 r. zaczyna się zaznaczać wzmożona aktywność zaczepna RAF'u. Zarówno ilość użytych samolotów, jak i tonaż zrzuconych bomb, przewyższają skalę niemiecką. Po raz pierwszy w historii zostają zanotowane rajdy w sile ponad 1000 samolotów na Kolonię i Essen. Wrażenie tych rajdów w Niemczech i w całym świecie jest ogromne.

Przez całe lato i zimę 1942/43 trwa niesłabnąca działalność lotnictwa bombowego, która w lutym i w marcu b.r. dochodzi do nienotowanego dotychczas nasilenia. Bombardowane są cele wyłącznie strategiczne, a więc przemysł, koleje, magazyny. Jest to więc ofensywa powietrzna, której skutki i znaczenie nie dadzą się na razie określić. Przeliczenie bowiem tego wysiłku na zabitych, rannych i rozwalone domy jest raczej efektywnością drugorzędną. Efektywność pierwszorzędna t.j. pewien procent spadku produkcji, przewozów i opóźnienia zamówień da się określić dopiero po wielu miesiącach.

W parze z powiększeniem ilości i udźwigu samolotów, Anglicy powiększyli tonaż bomb. Z przykrością należy tu podkreślić znowu nasz polski brak zmysłu wyobrażeniowego w dziedzinie fantazji twórczej. Przed wojną w Polsce lotnictwo myśliwskie było uzbrojone standartowo w dwa karabiny maszynowe. Gdy się zestawiało z tym osiem karabinów "Hurricane," lub "Spitfire," spotykało się ogólnie z twierdzeniem, że jest to przerost myśli konstruktorskiej w fałszywym kierunku.

Jeżeli chodzi o kaliber bomb, to zaznaczano, że podczas ostatniej wojny Niemcy stosowały bomby tysiąc kilogramowe, co miało być nieekonomiczne, gdyż dwie bomby 500 kilogramowe miały wyrządzić większe szkody, niż jedna tysiączka. Z tego powodu za standartowy, najcięższy kaliber bomby uznano w Polsce 500 kgr. Gdyby tym naszym "realistom" powiedziano, że samolot myśliwski "Typhoon" uzbrojony zostanie w 4 działka, a ciężar jednej bomby dojdzie do 3600 kgr., przyczem oba te osiągnięcia nie są jeszcze ostatecznym wyrazem i zdradzają dążność do dalszego wzrostu, "realiści" dostaliby szoku.

Dygresja powyższa ma na celu poddanie kontroli zakorzenionych poglądów o naszym polskim prymacie w dziedzinie zdolności tak subtelnych i nieuchwytnych, jak zmysł przewidywań.

Polityka RAF'u w rozbudowie, celach i organizacji, jest tak jak i polityka Anglików niesłychanie długodystansowa i długofalowa. Rytm jej jest dla człowieka z kontynentu zupełnie niezrozumiały i porażający pozornym brakiem logiki. Narody kontynentu są przyzwyczajone, że każdej akcji odpowiada reakcja i im szybsza, tym lepsza. Anglicy mogą wstrzymać reakcję na czas nieograniczony, co znaczy, że może ona przyjść w najbardziej nieoczekiwanej chwili, lub jeżeli to jest korzystne, może nie przyjść w ogóle.

Gdy były bombardowane miasta angielskie: Coventry, Liverpool, Plymouth, Birmingham, Anglicy nie wysilali się na natychmiastowe riposty. Umysłowość człowieka z kontynentu żądała jakiejkolwiek odpowiedzi. Odpowiedź nie nadchodziła. Po pierwsze, lotnictwo bombowe dopiero się zaczynało rozwijać, a po drugie Anglik się cieszył, że bomby padają na Piccadilly, zamiast na jakąś fabryczkę samolotów, lub amunicji, i nie uważał, że nadszedł właściwy czas, by temu przeszkadzać.

Minęło półtora roku od ostatnich ciężkich raidów /wyjąwszy Exeter/, gdy po nabraniu odpowiedniej siły i oddechu przychodzi wreszcie riposta angielska. Ciosy, które obecnie padają na Niemcy, są jak uderzenia młota w porównaniu do uderzeń pięści, które produkowała swojego czasu "Luftwaffe."

Obecnie lotnictwo niemieckie wysila się na specjalne złośliwości. Są to tak zwane "*sneak raiders*," którzy wykonują "*tip and run*" naloty na miasta nadbrzeżne. Zazwyczaj są to samoloty myśliwskie, nadlatujące lotem koszącym, rzucające bombę na chybił trafił w skupisko domów, siejące kilkusekundową serię z karabinów po ulicach i uchodzące pełnym gazem. Niemcy działają w ten sposób na moral, chcąc zmusić Anglików do zaabsorbowania części swoich sił do obrony wybrzeży.

Anglicy tego nie robią. Ludność nadbrzeży jest niepokojona, to prawda, lecz ludność to rozumie, bo przecież jest wojna. Gdy widz naoczny "*tip and run*" raidu odmaluje go z całą ekspresją Anglikowi, usłyszy za całą odpowiedź steoretypowe stwierdzenie: "*What a nuisance!*"

Przypomina to prawem kontrastu inne zdarzenie. Gdy w pierwszej wojnie światowej pięść niemiecka miała spaść na Paryż, a równocześnie Rosjanie robili dywersję w Prusach Wschodnich, delegacja junkrów pruskich wydębiła na Kajzerze wyrwanie w najbardziej nieodpowiednim momencie dwóch wyborowych dywizji z frontu zachodniego i przerzucenie ich do Prus. Rosjan pobito, lecz Paryża nie wzięto. Było to z punktu logiki historycznej Niemiec zbrodnią, natomiast odpowiadało w zupełności logice dnia, logice kontynentu, który przywiązuje zbytnią wagę do sukcesów i klęsk doczesnych.

Nadejdzie oczywiście chwila, gdy poskromi się "*sneak raider'ów*," lecz to nastąpi "*in due course*." Obecne "Typhoony" są już zapowiedzią tego.

Ta polityka tak typowo angielska, nie licząca się z wymogami chwili, lecz działająca pod kątem potrzeb odległej przyszłości, zbudowała zręby tego RAF'u, jaki jest obecnie. Charakteryzuje go bezsprzecznie najdoskonalszy sprzęt lotniczy i pomocniczy. Samoloty takich typów jak "Spitfire IX," "Lancaster" i "Mosquito," są w swojej klasie jedyne; nie ma nie tylko maszyn lepszych od nich, lecz nawet odpowiedników w świecie.

Brakuje co prawda Anglikom klasycznego dziennego bombowca i nurkowca, lecz sprawa ta jest zamknięta przez wejście na miejsce pierwszego "Latającej Fortecy," oraz przez zdegradowanie samolotu klasycznie nurkowego w znaczeniu niemieckiego "Stuka" do samolotu bardziej uniwersalnego, mogącego przy sposobności od czasu do czasu służyć jako nurkowiec.

Trudno jest dziś przesądzić, która doktryna jest bardziej słuszna. To prawda, że Niemcy zawdzięczają dużo sukcesów nurkowcom, natomiast jest rzeczą wątpliwą, czy te sukcesy zostaną podtrzymane w przyszłości, gdy nasycenie środkami opl. nabierze cech nasycenia VIII Armii przed atakiem na El Alamein, do czego Anglicy niewątpliwie dążą. Sukcesy nurkowców poza tym, chociażby były najbardziej zdumiewające, nie wykroczą nigdy poza pole walki, a więc szczebel taktyczno-operacyjny, do czego Anglicy nie przywiązują zbytniej wagi, właściwym polem ich działania jest bowiem strategia i polityka. Tu się wyżywają, tu znajdują odpowiedni dla swojej umysłowości i charakteru horyzont. Stąd może, nurkowiec jako broń na wskróś taktyczna, przemawia mało do ich zainteresowań.

Jeżeli chodzi o personel RAF'u to jest on szkolony masowo i standartowo systemem taśmowym. Tak jak w nowoczesnej fabrykacji, czynności z każdym przedmiotem obróbki rozkładają się na działania nieskomplikowane i jak najbardziej elementarne, tak przy szkoleniu masowym, zastrzyki niezbędnych wiadomości są podzielone na kategorie i gradacje w sposób, który zapewnia maximum korzyści przy minimum wysiłku włożonego.

Szkolenie to odbiega od stuprocentowego ideału doskonałości, lecz jest prawie doskonałe. Nie ma w nim miejsca, co prawda, na geniuszów i asów, wszystko bowiem jest podciągnięte pod strychulec standartu. Jest to jednak znak czasu, że zwycięża nie człowiek, lecz masa. Zwycięża nie Rolls-Royce, lecz Ford. Zwycięża szary człowiek w którejś tam potędze nad geniuszem.

W Polsce szło się na rozbudzanie indywidualności. Było to piękne, lecz niepraktyczne w obecnej erze przeludnienia. Anglicy postępują odwrotnie; usiłują doprowadzić do zaniku uczuć indywidualnych, rozbudzając i pielęgnując instynkty gromadne i społeczne.

Zjawisko to da się najbardziej łatwo uchwycić właśnie w RAF'ie. W Polsce istniał duch eskadry, jej gospodarka, polityka, jej tradycja, jej personel stanowiący częstokroć jedną rodzinę. Było to pożyteczne w zarysie eskadry, lecz w zarysie ogółu lotnictwa było szkodliwe. W Anglii odwrotnie. Brak jakichkolwiek partykularyzmów jednostkowych; cały RAF stanowi jedną wielką rodzinę, jeden wielki klub, którego członkowie, mają wspólny cel, język i zainteresowania, obojętnie gdzieby się znaleźli i w jakiej kombinacji zetknąłby ich los ze sobą.

Osiągnięcia RAF'u w obecnej wojnie to nie tylko ponad 15.000 zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela /w czym ponad 500 przez Polaków/, obronienie tej wyspy i kruszenie machiny wojennej Niemiec. To olbrzymia hala montażowa i laboratorium chemiczne, w którym się wykuwa z jednej strony zwycięstwo, a z drugiej harmonijny stosunek jednostki do społeczeństwa i odwrotnie. Procesy te zachodzą niemal nieświadomie, sennie, drogą postępową, jak wszystko zresztą w tym kraju, w oddaleniu od brutalności i krzywd rewolucji, w odżegnaniu od upiorów totalizmów.

STEFAN ŁASZKIEWICZ

THE POLISH ARMED FORCES EXPRESS TO THE R.A.F. ON THE 25TH ANNIVERSARY THEIR BEST WISHES FOR FURTHER PROGRESS AND VICTORY, WHICH WILL BE THE COMMON VICTORY OF GREAT BRITAIN, POLAND AND ALL FREEDOM-LOVING PEOPLES.

Szkic sytuacyjny

MOWA CHURCHILLA I WIZYTA EDENA

Mowa radiowa premiera W. Brytanii ważna jest z wielu względów. W wewnętrznym życiu politycznym Anglii stanowiła ona wydarzenie, albowiem dawała pewne wytyczne, jeżeli chodzi o układ stronnictw i ich współdziałanie w przyszłości. Jest rzeczą jasną, że obecny "*truce*" partyjny, w czasie którego obie partie tworzące rząd stają zgodnie do wyborów uzupełniających, sprzyja powstawaniu i rozszerzaniu się wpływów nowych organizacyj politycznych /n.p. *Common Wealth*, na którego czele znajduje się Sir Richard Acland/. Churchill zapowiedział poniekąd w swej mowie utrzymanie spoistości "rządu narodowego" po wojnie. Nie zanosi się na razie na nowe wybory: parlament obecny liczyć sobie będzie niebawem 8 lat istnienia /wybrany w r. 1935/. Pobije on zapewne rekord poprzedni: parlament wybrany w r. 1910 przetrwał wojnę i działał do r. 1918.

W dziedzinie szerszych zagadnień Churchill dał w swojej mowie *pożądane wyjaśnienie stanowiska rządu brytyjskiego wobec planów organizacji pokoju.* W przeciwieństwie do rozmaitych pomysłów oparcia bezpieczeństwa świata wyłącznie na czterech mocarstwach: U.S.A., Rosji, W. Brytanii i Chinach *Churchill zaznaczył, że bezpieczeństwo opierać się musi na współdziałaniu t.zw. wielkich i t.zw. małych państw* i zapowiedział w najogólniejszym zarysie powstanie Rady Europy /*Council of Europe*/ i Rady Azji /*Council of Asia*/. Podkreślił on, że Europa jest ojczyzną kultury wspólnej nam wszystkim i że należy te jej tradycje uszanować.

Każdy Europejczyk powita z uznaniem to stanowisko premiera W. Brytanii: całkowite przekreślanie zasad i potrzeb kultury, stawianie na pierwszym i wyłącznym miejscu *rozwiązania ekonomicznego*, wróży najgorzej. *Motywy gospodarcze są niewątpliwie bardzo doniosłe, ale nie wyczerpują sprawy. Ani gospodarcze, ani militarne względy nie są jeszcze wszystkim w organizacji pokoju i bezpieczeństwa.* Kultura, sposób życia, odrębności narodowe, tradycje dziejów, czynniki uczuciowe — to wszystko musi być wzięte w rachubę przez mądrych mężów stanu. *Jeżeli czynniki duchowe zostaną przekreślone, jeżeli pójdzie się po łatwej drodze materializmu, to wówczas pokój nie będzie ani trwały, ani słuszny.*

Churchill raz jeszcze wyraził swoje przekonanie, że *pobicie wroga jest pierwszym zadaniem i że bynajmniej nie jest ono łatwe.* Powtórzył swoje proroctwo, dane jeszcze na wstępie r. 1941 co do czasu trwania wojny. Widać z tego, że premier brytyjski woli być ostrożny. Obliczenia jego i rachuby, które podzielają również i inni politycy /jak n.p. premier Kanady/ wydają się wyjątkowo *realistyczne.* Oczywiście, kres wojny może nastąpić *wcześniej* i każdy miesiąc, jaki zyskamy w tym okrutnym *targu z losem i czasem*, będzie zyskiem nielada.

Wizyta amerykańska Edena dobiega kresu. Jaki będzie plon tej wizyty — nie wiemy. "*Sunday Times*" w doniesieniu swojego sprawozdawcy dyplomatycznego /z dnia 28-ego marca/ wskazuje, że Cordell Hull albo Sumner Welles może zjawić się w Anglii. Zaznacza on także, że *pozyskanie USA dla pełnego udziału w pokoju Europy jest zadaniem naczelnym.* Jest to zupełnie słuszne ujęcie: *bez USA nie tylko nie ma wygrania wojny, ale nie ma wygrania pokoju.* Jest to przekonanie, które utrwala się coraz bardziej *wśród narodów Europy.*

ZAPASY W TUNISIE

Walki w Tunisie przedstawiają się jako ciężkie i trudne zapasy. Przez chwilę wydawało się, że linia Mareth zostanie złamana i że Rommel wypadł do zastawionego potrzasku. Dowódca niemiecki okazał się jednak twardą sztuką. Koncentracja artylerii, jaką dysponował na linii Mareth wyparła wojska brytyjskie z zajętych już stanowisk wewnątrz linii. Starcia są zażarte i krwawe. Wydaje się, że armie sojusznicze pójdą na wytracenie sprzętu wroga. Zabieg taki jest napewno kosztowny: jeżeli Rommel straci zbyt wiele czołgów, będzie musiał cofać się. Być może, iż już najbliższe dni przyniosą rozstrzygnięcie.

Jeden z generałów armii amerykańskiej zapowiedział w mowie wygłoszonej w USA że "*gdy tylko zrobi się porządek w Afryce, przyjdzie kolej na inwazję.*" Przypuszczalnie zapowiedź ta jest słuszna, ale wydaje się, że działania w Tunisie spóźniły się wcale poważnie. To właśnie nakazuje Brytyjczykom pełną ostrożność w stosunku do sytuacji. Pisma brytyjskie pełne są ostrzeżeń pod adresem własnego społeczeństwa, ażeby nie upajać się takimi czy innymi powodzeniami i ażeby "*najpoważniej traktować armię niemiecką.*"

ZMAGANIA W ROSJI

Przez chwilę zdawało się, że armia sowiecka przejdzie przez wyrwę południową i zapędzi się daleko za Dniepr. Przez chwilę zdawało się, że "Wehrmacht" stoi w obliczu katastrofy. Zaczęto mówić o załamaniu.

Proroctwa te okazały się przedwczesne. Straty niemieckie w terenie, sprzęcie, ludziach są napewno bardzo poważne. Niejedna armia załamałaby się pod wpływem takich uderzeń. "Wehrmacht" wytrzymał te ciosy z trudem, z wysileniem, ale wytrzymał. Druga zima nie była napewno zbyt przyjemna, ale zarówno przez względną łagodność jak i przez to, że armia niemiecka była lepiej na nią przygotowana — nie okazała się katastrofalna.

W danej chwili wojna na Wschodzie znajduje się w okresie względnego zastoju. Rosjanie posuwają się nieco na północy, Niemcy usiłują posunąć się na południu. Ale już opór sowiecki nad Dońcem rośnie, błota i roztopy hamują poważniejsze działania. Być może, że przed końcem kwietnia nie rozpali się żadna poważniejsza walka na froncie rosyjskim.

Nie wiemy jaki jest plan strategiczny "Wehrmachtu" na "*sezon letni.*" Czy zamierza on podjąć znowu ofensywę od południa korzystając z tego, że zatrzymał jednak obie strony *cieśniny kerczańskiej* i że nie dał się wyprzeć na Dniepr? Czy też raczej podejmie uderzenie w kierunku Moskwy? Obie możliwości stoją otworem przed armią niemiecką, przy czym druga możliwość wydaje się nieco bardziej prawdopodobna.

Coraz bardziej jednak wyraźniej przewija się w niemieckim myśleniu strategicznym przekonanie o tym, że wszelka ofensywa ma swoje granice w czasie i przestrzeni — jeżeli chodzi o Rosję i że nawet gdyby w czasie lata Niemcy zajęli spore obszary, to *stracą je w zimie.* Coraz wyraźniej zaznacza się wśród Niemców przekonanie, że strategia ich jest w ślepej ulicy.

Strona sowiecka nie ukrywa powagi sytuacji. Zarówno prasa moskiewska jak rozgłośnie radiowe podkreślają, że "czas nagli" i że "otwarcie drugiego frontu w Europie jest nakazem chwili." Sprawozdawca "*Sunday Timesa*" oraz BBC z Moskwy, Alexander Werth w pogadance nadanej z Moskwy zaznaczył, że "rezerwy ludzkie Rosji nie są bynajmniej *niewyczerpane*, że na froncie walczą przez długie miesiące te same dywizje bez odpoczynku."

Podobne wnioski wypowiada w swoich sprawozdaniach z Moskwy korespondent "*Daily Mail'u*" Negley Farson. Od dłuższego już czasu zwraca on uwagę na fakt, że nie należy uważać sowieckich rezerw ludzkich za niewyczerpane. Nie tylko to, że Niemcy zajęli najgęściej zaludnione części Rosji, nie tylko znaczna ilość jeńców, jaką wzięli, ale i to że przemysł wojenny Rosji musi być utrzymany na wysokim poziomie sprawia, iż zasoby ludzkie Z.S.R.R. również mają *swoje granice.*

Rzesza niemiecka stara się dokonać mobilizacji wszelkich możliwych sił. Doniesienia neutralne mówią, że zabiegi niemieckie idą w kierunku wyzyskania *Litwinów, Łotyszów i Estonii* dla zasilenia armii niemieckiej. Branka dokonana we Francji — zwłaszcza na obszarze Sabaudii — dowodziłaby, że chodzi tu nie tylko o zaciąg do służby pracy, ale że młodzież francuska miałaby zostać zapędzona na front wschodni. Potwierdzają te domysły pisma szwajcarskie jak "*La Suisse,*" "*Journal de Genève*" i in.

Kraje takie jak Dania czy Holandia nie wiele przyniosły w darze, jeżeli chodzi o zasoby ludzkie: legiony potworzone przez takich czy innych zdrajców są *bardzo słabe liczebnie.* Niedawno Degrelle, przywódca ruchu "Rex" oznajmił w Brukseli, że legion walloński, który miał walczyć na Wschodzie, przedstawia się mizernie, jeżeli chodzi o liczbę. Nie inaczej ma się sprawa z legionem Musserta, zdrajcy holenderskiego. Legion duński zdaje się przestał istnieć.

Rezerwy włoskie na froncie wschodnim topnieją. Topnieje też pomoc rumuńska. Liczba dezercyj mnoży się: uciekają Rumuni, Węgrzy, Włosi. Rzesza będzie zatem sięgać do krajów okupowanych. Będzie się starała wszelkimi sposobami wydobyć robotników, którzy pójdą do Rzeszy na miejsce robotników niemieckich — poza tym zluzować mężczyzn starszych roczników przez wciągnięcie kobiet. Pisma neutralne obliczają, że w ten sposób uzyska Rzesza około 1,500,000 żołnierzy. Jeżeli zapuści się sieci na obszary okupowane, to otrzyma się może ponad 500,000 które należało by oczywiście przesiać między jednostki niemieckie — gdyż nie można tworzyć żadnej samodzielnej jednostki z tego rodzaju *mało pewnych* żołnierzy.

Wydaje się, że cała nagonka Sauckla z pomocą dra Ley'a i innych — nie da więcej, niż 2 miliony. Jest to cyfra poważna i "Wehrmacht" załata swoje braki. Załata je na razie. I na krótko.

Londyn, 28 marca 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

21 marca: Siły zbrojne Sprzymierzonych rozpoczęły nową ofensywę w Tunisie — Bitwę o Linię Mareth.

22 marca: Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę bombową. Wszystkie polskie samoloty powróciły.

—Załoga polskiego bombowca Dowództwa Obrony Wybrzeża patrolowała wody Zatoki Biskajskiej. W czasie patrolowania bombowiec polski został zaatakowany przez trzy pościgowce niemieckie. Po krótkiej walce, w czasie której jeden z samolotów niemieckich został prawdopodobnie zestrzelony, załoga polska zdołała się oderwać od atakujących. Po wykonaniu swego zadania bombowiec polski powrócił do bazy.

23 marca: Naczelny Wódz w obecności wyższych oficerów polskich przeprowadził rozmowy z brytyjskim Naczelnym Dowódcą Home Forces gen. Sir Bernard Paget'em i innymi wyższymi oficerami brytyjskimi. Rozmowy dotyczyły aktualnej sytuacji wojennej oraz zagadnień związanych z polsko-brytyjską współpracą wojskową.

25 marca: Gen. Sikorski odbył konferencję z arcybiskupem Nowego Jorku ks. Spellmanem.

—Polskie dywizjony myśliwskie dokonały wypadu nad terytorium okupowane przez nieprzyjaciela. Wszystkie samoloty powróciły.

—W nocy z 24/25 polska bateria przeciwlotnicza razem z innymi bateriami w Szkocji zestrzeliła bombowiec nieprzyjacielski. Jest to pierwszy samolot niemiecki zestrzelony przez polską artylerię przeciwlotniczą w Wielkiej Brytanii.

26 marca: Reuter donosi, że polscy piloci myśliwscy osłaniali lekkie bombowce 8-ej Armii, które bombardowały Sfaks oraz lotniska w rejonie El Mau i Dżebel Tebaga, na północny zachód od Gabes.

27 marca: Polskie dywizjony bombowe bombardowały Duisburg. Wszystkie załogi polskie powróciły do baz.

—Ogłoszono szczegóły walk stoczonych w dniach od 1—12 lutego br. przez polskie oddziały partyzanckie z Niemcami w okolicach miejscowości Krasnobród. W walkach tych po stronie niemieckiej wzięły udział m.in. czołgi i samoloty.

28 marca: R.A.F. bombardował Berlin. Był to najsilniejszy z dotychczasowych nalotów na stolicę Niemiec.

29 marca: W nocy z 28/29 polskie załogi bombowe bombardowały jedną z baz okrętów podwodnych we Francji i kładły miny na wodach nieprzyjacielskich. Z obydwu tych wypraw wszystkie załogi powróciły.

Ponadto w ubiegłym tygodniu polskie dywizjony myśliwskie przeprowadzały patrolowanie dzienne i nocne a polski dywizjon bombowy w Dowództwie Obrony Wybrzeża patrolował morza i zwalczał żeglugę nieprzyjacielską.

Nowości lotnicze

Jeden ze starszych oficerów brytyjskiego sztabu generalnego oświadczył pewnemu kandydatowi do lotnictwa, odmawiając jego prośbie o przeniesienie: "Jest pan bohaterem, niewątpliwie, lecz niestety ilość bohaterów poświęcających się awiacji musi pozostać ograniczona, nawet w najlepszej z wszystkich armii świata."

Był to rok 1911. Na lotnictwo patrzono w kołach oficjalnych trochę z ukosa, uważając je raczej za konieczną zabawkę niż poważną broń w przyszłej wojnie. Konieczną zaś dlatego, że trzeba przecież eksperymentować, by się nie nazywało, że stoi się w miejscu.

Był to czas, kiedy armia Wielkiej Brytanii posiadała w swym stanie aż dziewięć samolotów, w budowie zaś było cztery. Z dziewięciu pożyczono marynarce dwa. Więcej uwagi poświęcano balonom. Balony odgrywały zawsze pewną rolę od roku 1870 w operacjach taktycznych, pozatem hałas i krzyk, jaki Niemcy robili dookoła swego Zeppelina, zbierając milionowe fundusze na budowę balonowej floty powietrznej dopingowały dostojnych dżentelmenów, pamiętających jeszcze wojnę afganistańską, dwie kampanie południowo, afrykańskie oraz Powstanie Boxerów w Chinach.

Oświadczenie przytoczone na początku niniejszego artykułu stało się sławne i psuło krew młodszym a krewkim oficerom, stale utyskującym na zastarzałe metody *War Office.* Rozpoczęła się wielka faza walk między starymi a młodymi, której wynikiem było przecież stworzenie "*Air batallion*" złożonego z paru balonów i wszystkich dziewięciu samolotów, wreszcie R.F.C. "Royal Flying Corps'u."

Taki był początek *Royal Air Force.* Początek oficjalny, chociaż jeszcze nikt o R.A.F. nie słyszał, gdyż R.A.F. jako taki urodził się dopiero z R.F.C. równo dwadzieścia pięć lat temu: 1 kwietnia 1918 roku. Jednak początki lotnictwa w Anglii sięgają znacznie dalej i pełne są niespodzianek. N.p. nie wiem jak Lord Trenchard przyjąłby wiadomość, że jest następcą nikogo innego jak sławnego Buffallo Billa, gdyż nikt inny, ale Buffallo Bill zaczął organizować pierwszą eskadrę samolotów dla Armii brytyjskiej. Niejeden zaś z asów noszących dumnie na piersi swoje "wings" musi czy chce czy nie chce wiedzieć, że jest tylko następcą pewnego ogrodniczka z Sussex, który przypadkowo poleciał sobie w powietrze, na maszynie podobnej do pierwszego szybowca Wrighta, w czasie porywistej burzy i złamał potem nogę przy lądowaniu w roku Pańskim 1842.

W każdym razie długa była droga od tego ogrodniczka do Buffallo Billa, od Buffallo Billa do *Royal Flying Corps* zrodzonego rozkazem z dnia 13 maja 1913.

Szeregi R.F.C. wypełniła garstka entuzjastów, która uczyła się latać na własny koszt zarówno finansowy jak i fizyczny. Niewielu ich pozostało przy życiu. Z nich wymienić można: Lt. A. M. Longmore, R.N., który dzisiaj jest marszałkiem i był jeszcze na liście aktywnej w 1939 roku, czy kpt. H. R. M. Brooke-Popham, który dopiero niedawno wyszedł z czynnej służby. Ci oficerowie i ich koledzy rozpoczynali swą powietrzną służbę, narażając się nieprawdopodobnie przy każdym locie, na samolotach, których nie projektował inżynier-konstruktor, ani nie próbował ich testów żaden pilot-oblatywacz. Sami budowali, sami oblatywali, sami naprawiali swoje skrzynki pokryte jedwabiem i podrutowane na wszystkie możliwe strony, o motorach pożal się Boże. Ówczas przelot 40 mil bez przymusowego lądowania uchodził za nielada wyczyn.

Co to był R.F.C. w 1912 roku? Była to centralna szkoła pilotażu i trzy eskadry samolotów o zmiennej, ze zrozumiałych względów liczbie samolotów czynnych. W każdym razie i wtedy, w roku 1912 liczba ich nie przekraczała 15-tu.

Głównym zadaniem lotnictwa owych czasów było rozpoznanie. Nie wierzono jednak w sztabach lądowych, by takie rozpoznanie dało poważne rezultaty. Rozpoznanie — to kawaleria, a nie coś, co raz leci, a raz się wali na ziemię z trzaskiem przypominającym łamanie gałęzi na kolanie. Dlatego jeszcze w 1940 pierwsze samoloty nie były w ogóle uzbrojone. Pilotom dawano tylko wielkie rewolwery, by strzelali do przeciwników, jeżeli będą mieli po temu sposobność. Jednak ówcześni piloci nie strzelali. Gdy jeden lub drugi z nieprzyjaciół spotykali się w powietrzu, posyłali sobie rycerskie pozdrowienie ręką. Każdy leciał w swą stronę, dla wypełnienia swych zadań.

R.F.C. między 1912 a 1914 nie zasypiał gruszek w popiele. W chwili wybuchu wojny miał już jednak 120 samolotów i stan jego wykazywał 2073 ludzi. Przy końcu wojny, gdy nastawał RAF, stany były znacznie większe: 3300 samolotów pierwszej linii i około 230 tysięcy personelu. Ogólne straty wojenne po rok 1918 wynosiły 12.800 oficerów, 3900 podoficerów i szeregowców. 58.000 samolotów przeszło przez fabryki na front. Łączna suma samolotów RAF wynosiła w 1918 /listopad/ /pierwsza i druga linia/ 22.171.

Niestety cyfry te spadały gwałtownie im dłużej trwał pokój. Wojna 1939 zastała RAF bardzo słaby. Słaby liczebnie, lecz za to posiadający nieliczne lecz znakomite samoloty i wspaniale wytrenowane załogi.

Battle of Britain wygrały załogi przedwojenne. Polacy którzy brali udział w tej bitwie nie mieli również rekrutów na maszynach. Lecz nie ma wśród nich takiego, który by nie stwierdził, że dopiero duch RAF'u, sposób szkolenia, znakomite maszyny wreszcie przede wszystkim metody dowodzenia, dały im pełną możność pokazania, co mogą i potrafią.

RAF przez dłuższy czas prowadził wojnę samotnie, bez armii lądowej. Wywalczył zwycięstwo nad Wielką Brytanią, zwycięstwo, które zadecydowało napewno o losach tej wojny. Nie spoczął na laurach i natychmiast po bitwie defensywnej podjął bitwę zaczepną, która do dzisiaj trwa.

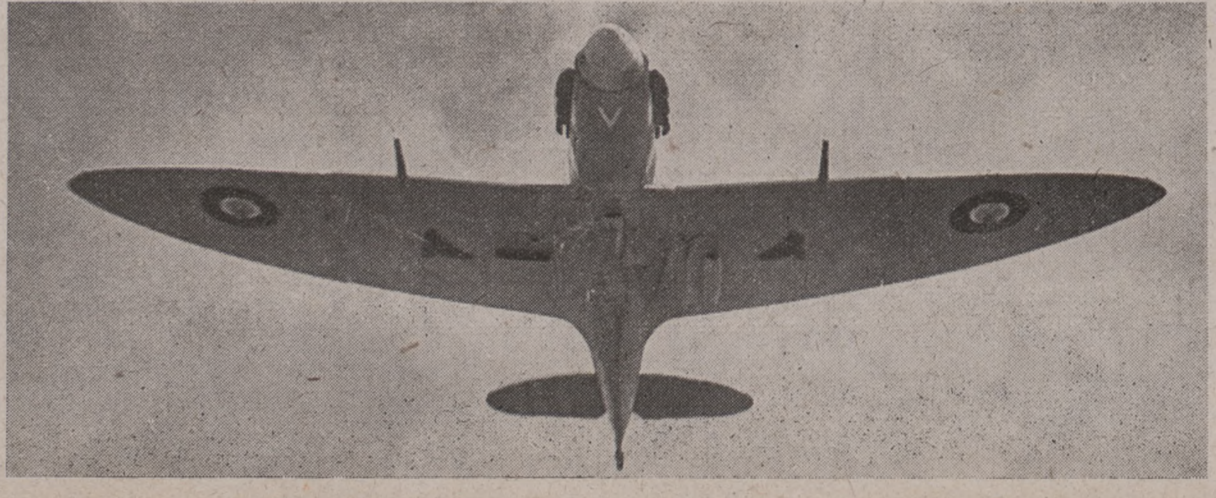
Od chwili kiedy "tak niewielu, zrobiło tak wiele" jakby rzec można parafrazując słowa Churchilla, od roku 1940, RAF zrobił nowy skok. Skok jeszcze większy niż ten, który dzielił czasy Buffallo Billa od R.F.C. RAF rozwinął się potężnie. Na wszystkich teatrach wojny ma swe eskadry i wszędzie gdzie jest, sięga po panowanie w powietrzu. Czy tu na zachodzie, czy na południu w Afryce, czy na morzach, wspomagając jednostki floty. Rozrodziły się gałęzie dębu i rozmaicie nazywają się dziś jego konary: *Fleet Air Arm, Coastal Command, Bomber Command, Fighter Command*, czy najmłodszy — *Transport Command.* Wszędzie gdziekolwiek pojawi się skrzydło z kokardą RAF'u panuje ten sam duch zaczepny, ten sam rozmach, ten sam język lotniczy. To samo zrozumienie spraw najwyższej wagi, to samo poświęcenie.

Rola RAF'u nie skończy się z chwilą wojny. Już dzisiejsza sytuacja pozwala nam przypuszczać, że przerwanie działań wojennych nie będzie bynajmniej dla RAF'u chwilą początku zasłużonego urlopu. Przeciwnie, zacznie się wtedy najcięższa z prac: walka o Europę. Walka nie będzie prowadzona tylko bronią palną i bombami. Będzie to także walka z głodem, gdy eskadry zaczną zaopatrywać głodujące narody kontynentu, walka z chorobami, gdy trzeba będzie aprowidować miasta, wsie i miasteczka o nazwach dla Anglika po prostu niepojętych, a napewno niewymawialnych — w lekarstwa i środki lecznicze.

Wreszcie będzie to walka bezpośrednia o nowy świat z tymi, którzy od razu zechcą do tego świata wnieść chaos, dla załatwiania swoich brudnych spraw i interesów.

Należy patrzyć się na flagę RAF'u z poważaniem, jakie należy się symbolowi zespołu ludzi, którzy dobrze spełnili swój obowiązek. Należy także patrzyć z nadzieją, że i te przyszłe obowiązki wypełnią znakomicie, stając się ostoją i bezpieczeństwem dla przyszłych pokoleń wielu narodów.

25-lecie RAFu, obchodzone bardzo skromnie przez Wielką Brytanię będzie napewno świętem dla każdego Polaka, który mundur "rafowski" nosi. Będzie napewno świętem dla każdego Polaka w Wielkiej Brytanii. Będzie napewno święcone w naszym Kraju. Będzie święcone z pełnym sentymentem. Bez wielkich słów, bez mów czy szumnych bankietów. Napewno jednak przy uczuciach szczerej wdzięczności i podziwu.



M. J. GORDON

Most nad Atlantykiem

Wizyta ministra Edena w St. Zjednoczonych jest wydarzeniem wielkiej wagi nie tylko ze względu na rozmowy, jakie szef *Foreign Office'u* prowadzi z rządem waszyngtońskim. Źródła oficjalne podkreślają ich zadawalający przebieg. Pomiędzy Londynem a Waszyngtonem panuje całkowita zgodność poglądów w sprawach najbliższych, bezpośrednio dotyczących wspólnego wysiłku wojennego obu demokracyj anglosaskich na drodze do zwycięstwa. Ale niemniej ważne jest tło tych rozmów, a przede wszystkim reakcje opinii amerykańskiej, nie zawsze pokrywającej się z brytyjską, zarówno w odniesieniu do spraw naszego kontynentu, jak i do przyszłej organizacji całego świata.

Przed tą wojną angielscy zwolennicy zbliżenia z Ameryką często powtarzali magiczną formułę: *U.K. + U.S.A. = O.K.* W szerokich kołach opinii anglo-amerykańskiej panowało przekonanie, że harmonijna współpraca W. Brytanii z St. Zjednoczonymi mogłaby zażegnać wiele kryzysów i bardziej przyczynić się do uratowania pokoju, niż wszystkie inne kombinacje figur na szachownicy europejskiej. Wielu przyjaciół pokoju marzyło o zbudowaniu mostu zgody nad Atlantykiem, o zjednoczeniu dwóch największych potęg świata dla dobra całej ludzkości. Niestety dopiero wojna przyniosła to zjednoczenie.

Owa magiczna formuła nie straciła nic ze swej aktualności. Most został przerzucony, ale trzeba oprzeć go na mocniejszych fundamentach, by przetrwał nie tylko wojnę, lecz i pokój.

Jakkolwiek pod względem uczuciowym trudno byłoby dopatrzeć się różnicy w stosunku do wspólnego wroga nr. 1 — Niemiec, po obu stronach Atlantyku zaznacza się pewna odmienność stanowisk wobec innych spraw, jak na przykład Rosji, Japonii, Indyj, brytyjskich zagadnień imperialnych i t.d. Opinia Ameryki, która stała się drugą ojczyzną wielu narodów obecnie pod jarzmem Hitlera, inaczej również odnosi się do zagadnienia t.zw. "małych narodów," a jeśli nie cała opinia, to jej poszczególne odłamy, niepozbawione wpływu na decyzje rządu. Bardzo charakterystyczne były ostatnie wypowiedzi najpoważniejszych organów amerykańskich, jak n.p. *New York Times'a*, ostro krytykujące niedawny artykuł londyńskiego *Times'a* pod tyt. "*Security in Europe.*"

Oczywiście, nie należy przesadzać znaczenia tych różnic, często koniunkturalnych, ale faktem jest, że one istnieją i w dalszym rozwoju wypadków mogą się jeszcze bardziej pogłębić z chwilą, gdy różne poglądy przejdą z dziedziny oderwanych zasad i "*wishful thinking*" do swego praktycznego urzeczywistnienia.

Wobec tego, że Ameryka powołana jest do odegrania pierwszorzędnej roli w przebudowie świata po wojnie, wahania jej opinii zasługują na szczególną uwagę. Nie łatwo się w nich dokładnie orientować tym bardziej, że w ocenie musimy ograniczyć się do wiadomości zaczerpniętych jedynie z prasy, które nie mogą dać wszechstronnego i dokładnego obrazu.

Wiemy, że Ameryka rzuciła na szalę rozstrzygnięć wojennych swe niezmierzone bogactwa, największy na świecie przemysł, geniusz wynalazczy, dynamiczną energię młodej, bujnej demokracji, rozmach i nieodłączny sukces, wielką już armię, flotę i lotnictwo. Wiemy, że zasila swym sprzętem wszystkie fronty wojenne, że w ramach "*Lease and Lend*" bilu dostarczyła go sprzymierzonym narodom na sumę kilkunastu miliardów dolarów, że jej produkcja wzrasta nieustannie, pobijając wszystkie rekordy, że gromadzi olbrzymie zapasy żywności i artykułów pierwszej potrzeby dla niesienia pomocy wyzwolonym narodom Europy. Wiemy również, jak w ogólnych zarysach zapatrują się na przyszły porządek świata jej kierujący obecnie mężowie stanu oraz wybitni przedstawiciele opozycji republikańskiej, ale nie wiemy, w jakim stopniu Ameryka weźmie udział w organizacji pokoju. Nie składa się ona przecież z samych Rooseveltów, Wallace'ów, Cordell Hull'ów, czy Willkie'ch.

Przed atakiem japońskim na Pearl Harbour zaledwie znikoma część jej opinii sprzyjała działaniu zbrojnemu na rzecz narodów sprzymierzonych. Wprawdzie olbrzymia większość była całym sercem po stronie aliantów, ale niemało kłopotu sprawiła Rooseveltowi rewizja ustawy o neutralności, by pomoc tę umożliwić. Dzisiaj naród amerykański jest zjednoczony w wojnie. Trudno jednak twierdzić z absolutną pewnością, że po osiągnięciu zwycięstwa nie powtórzy się to, co nastąpiło przed ćwierć wiekiem, kiedy St. Zjednoczone odrzuciły wielkie dzieło swego prezydenta, Wilsona.

Oczywiście, warunki zmieniły się od owego czasu i popełniony błąd srodze pomścił się na Ameryce, która dobrze sobie już uświadamia, że ani Atlantyk ani Pacyfik, nie zapewniają jej bezpieczeństwa "na ustroniu," ale odruchy opinii publicznej są często nieobliczalne i nie można lekceważyć głęboko zakorzenionych w społeczeństwie amerykańskim tradycyj myślenia i postępowania, które nakazują jej najdalej idącą ostrożność, jeśli grozi wplątanie się po wojnie w sprawy innych kontynentów, a przede wszystkim Europy.

Okres między dwiema wojnami, błędy demokracyj zachodnioeuropejskich, ich oportunizm i kompromisy z agresorami osi, ich rozdarcia wewnętrzne, ich nieudane próby znalezienia jakiegoś wyjścia z nieustannych kryzysów gospodarczych i politycznych — wszystko to stoi żywo w pamięci Ameryki i bynajmniej nie wzmacnia stanowiska żywiołów amerykańskich, które pragnęłyby już teraz, podczas wojny, uzyskać od Kongresu Amerykańskiego wiążące deklaracje co do udziału Stanów Zjednoczonych w przyszłej organizacji pokoju. Jest bardzo znamienne, że inicjatywa tego rodzaju, podjęta kilka tygodni temu przez czterech senatorów /dwóch demokratów i dwóch republikanów/ nie została poparta przez koła rządowe, najwidoczniej ze względów taktycznych, istnieje bowiem uzasadniona obawa, że spotkałaby się z opozycją większości obu Izb.

Nie ulega wątpliwości — potwierdzają to wyniki próbnych plebiscytów urządzanych periodycznie przez instytuty badania opinii publicznej — że społeczeństwo amerykańskie skłonne jest w zasadzie do najszerzej pojętej współpracy w zbudowaniu nowego systemu bezpieczeństwa, jakiejś nowej lepszej Ligi Narodów, posiadającej zbrojną siłę egzekutywy. Jest również rzeczą wiadomą, że Amerykanie przygotowują się do wielu praktycznych zadań w okresie okupacji państw zwyciężonych, że ćwiczą w tym celu specjalne kadry administracyjno-policyjne, że opracowują wspólnie z innymi rządami Sprzymierzonych szczegółowe plany opanowania chaosu powojennego, ale akcja ta nie oznacza bynajmniej, że poza ogólnymi zasadami Karty Atlantyckiej, Ameryka się już zaangażowała politycznie w nowym ładzie Europy.

Oświadczenia Roosevelta, Hulla, Sumner Wellesa, Wallace'a mówią tylko o tym, czego rząd amerykański pragnie, ale nie mogą gwarantować, że tak się stanie, tym bardziej, że jest to zależne nie tylko od Ameryki. Należy równie pamiętać o tym, że według konstytucji amerykańskiej dla ratyfikacji traktatów potrzebna jest większość kwalifikowana /dwie trzecie/ Senatu U.S.A., ta właśnie większość, której nie uzyskał Wilson dla traktatu wersalskiego. A w niedawnych wyborach do Kongresu republikanie odnieśli znaczny sukces.

Wybory prezydialne odbędą się na jesieni r. 1944. Roosevelt może po raz czwarty powróci do Białego Domu, co byłoby bez precedensu w historii U.S.A., ale nie jest wykluczone, że republikanie dojdą do władzy. Jeśli chodzi o prowadzenie wojny różnice pomiędzy obu rywalizującymi obozami zatarły się zupełnie, ale mogą one wystąpić w odniesieniu do sprawy pokoju, mimo iż Willkie stara się przelicytować Roosevelta w zerwaniu z izolacjonizmem i głosi koncepcje międzynarodowe.

Należy tu zauważyć, że linia demarkacyjna pomiędzy demokratami i republikanami bynajmniej nie zbiega się z ich stanowiskiem w polityce zagranicznej. Różnice między nimi — pochodzenia historycznego — leżą przeważnie na płaszczyźnie spraw wewnętrznych. Dzisiaj jest to głównie konflikt pomiędzy zwolennikami a przeciwnikami "*New Deal'u*" /Nowego porządku/ Roosevelta. I wśród demokratów znajdują się elementy skrajnie izolacjonistyczne, jak na przykład słynny senator Wheeler, podczas gdy wśród republikanów nie brak żywiołów postępowych. Na ogół jednak większość demokratyczna popierająca Roosevelta w jego próbach reform wewnętrznych, jednocześnie wyznaje poglądy obecnego rządu w sprawach zagranicznych i usposobiona jest interwencyjnie, natomiast opozycja republikańska doszedłszy do władzy, może po wojnie znowu pchnąć Amerykę ku izolacji, co byłoby największym nieszczęściem nie tylko dla St. Zjednoczonych, lecz i dla całego świata.

Wiele przemawia za tym, że taka ewentualność nie nastąpi. Kreśląc powyższe uwagi, staraliśmy się przedstawić obie strony medalu amerykańskiego, zarówno czynniki, działające na korzyść przyszłej współpracy z resztą świata, jak i czynniki, hamujące ją. Prądy, idące od dołu, od mas ludowych niewątpliwie sprzyjają bardziej pierwszym, niż drugim. One to właśnie zmusiły wielu amerykańskich przywódców politycznych broniących starych tradycyj i partykularnych interesów do zmiany stanowiska. Na tych masach oparł się Roosevelt w walce przeciw potężnym trustom, realizując swój "*New Deal.*" Ma on w nich również — obok duchowieństwa, sfer intelektualnych i młodzieży — najwierniejszych sprzymierzeńców, gdy powoli, lecz konsekwentnie, przestawia politykę amerykańską na nowe tory.

Nie należy również zapominać, że Ameryka, która nie podjęła żadnych wiążących zobowiązań politycznych na okres powojenny, zaangażowała się już gospodarczo. *Lend-Lease* — ustawa o pomocy walczącym demokracjom kładzie fundamenty nowego międzynarodowego ładu gospodarczego, zespalając je w walce nie tylko o wygranie wojny, lecz i wygranie pokoju.

Wreszcie impuls moralny, jaki nadała wojna 140 milionom ludności St. Zjednoczonych, braterstwo broni, świadomość wspólnej walki o wolność, o ideały ogólno-ludzkie, o najcenniejsze skarby cywilizacji przeciw nowoczesnym barbarzyńcom — wytwarzają nastroje, przenikające głęboko duszę amerykańską. Uczynią one powrót do powtórnego odosobnienia się stokroć trudniejszym po tej, niż po tamtej wojnie.

Jeśli istnieje to niebezpieczeństwo, źródła jego leżą również gdzie indziej. Ameryka może wydatnie pomóc odradzającej się Europie. Lecz jeśli inne zwycięskie mocarstwa nie przyczynią się do rozbudowy sprawiedliwego pokoju w duchu Karty Atlantyckiej, jeśli koniec tej wojny stanie się początkiem nowej ery kryzysów i wojen europejskich, wtedy, oczywiście, Ameryka najprawdopodobniej odwróci się od naszego kontynentu. Nie ma jednak powodu do tak ponurych przewidywań.

Opinia Ameryki nieobciążona licznymi hipotekami, krępującymi w czasie wojny aliantów europejskich, może z większą otwartością wypowiadać się w różnych sprawach. Głos jej mocno, a może nawet decydująco zaważy na szali rozstrzygnięć powojennych. Żywiła ona zawsze od czasów Kościuszki i Pułaskiego najserdeczniejsze sympatie i przyjaźń dla Polski, a pięć milionów Polaków amerykańskich to wkład wielki w jej organizm, to ogniwo trwale łączące Polskę z demokracją amerykańską. Tam jest dzisiaj najwdzięczniejszy grunt dla wytężonej propagandy w obronie nienaruszalnych praw Polski.

FLORIAN SOKOŁÓW

Manewry wiosenne

Niedawno zakończyły się wielkie manewry wiosenne—największe jakie kiedykolwiek odbywały się na ziemi brytyjskiej. Dla Anglików — cóż za paradoks w czwartym roku wojny—było to nowym źródłem zadziwień i entuzjazmu. Sprawozdania prasowe są tego najjaskrawszym dowodem. Prasa poświęciła ćwiczeniom nieproporcjonalnie wiele miejsca, zarówno w tekście, jak i w ilustracjach, co zważywszy ograniczoną obecnie objętość gazet daje miarę zainteresowania.

Przed wojną, gdy gazety miały wielokrotną dzisiejszej objętości jeden reportaż czy artykuł, zwykle wyczerpywał nawet tak obszerny temat. Obecnie, gdy nożyczki *sub-editora* bez miłosierdzia wycinają wszelkie dłużyzny i poświęcają rzeczy nieraz bardzo istotne, rzeczom jeszcze bardziej istotnym, należy przejść całość prasy, aby sobie wyrobić jasny obraz. W stosie artykułów, reportaży i notatek z każdego niemal pisma można wyłuskać coś nowego. Jakąś ciekawą obserwację, jakąś nową myśl, jakąś oryginalną *story*.

Daily Herald przynosi doskonale ujęty ogólny opis ćwiczeń: —Wielką Brytanię podzielono na trzy części.

1) t.zw. "Southland," na którego wybrzeżu zgromadzono silną armię brytyjską pod dowództwem gen. A. G. L. McNaughton'a.

2) t.zw. "Eastland" zajęty przez armię niemiecką pod dowództwem "von Rundstedta" (Gen. J. A. H. Gammell). Armia ta została ostatnio poważnie osłabiona "odciągnięciem odwodów na front rosyjski."

3) t.zw. "Westland"—kraj neutralny gotowy do bronienia swej neutralności w razie agresji.

Z końcem stycznia wojska angielskie pod dowództwem gen. McNaughton przekroczyły kanał dzielący je od Anglii i wylądowały w "Southland". Z końcem lutego armia ta utworzyła elastyczną linię natarcia. Równocześnie "von Rundstedt" skoncentrował wojska i broń pancerną i posunął się w kierunku "Southland'u". Zadaniem wojsk angielskich było jak najszybsze natarcie i zdobycie stolicy "Eastland'u". Zadaniem "v. Rundstedt'a" było wytrzymanie tego natarcia przez tydzień, po którym to czasie miał otrzymać posiłki z Rosji.

Uprzedzając natarcie, "von Rundstedt" szybko wkroczył do "Southland'u" i choć jego lewe skrzydło było zagrożone przez nowe lądowania brytyjskie, posunął się aż do Tamizy i wysadził w powietrze mosty, zanim McNaughton mógł go powstrzymać. Następnie przez parę dni prowadził podstępną grę wciąż się wycofując i stawiając tylko lekki opór, aby zyskać na czasie. Dopiero w ośm dni po rozpoczęciu manewrów McNaughton wkroczył do "Eastlandu." "Von Rundstedt" powstrzymywał jego pochód przez następny tydzień, stosując na wielką skalę pola minowe, niszczenie dróg i mostów oraz skoncentrowane ataki powietrzne. Teoretycznie wypełnił więc swe zadanie, tak że gdy w końcu McNaughton zmusił go do bitwy, manewry przerwano.

Schematyczny ten opis był jednak tylko tłem dla obserwacji i osądu, które wypadły rozmaicie zależnie od nastawień pisma.

Korespondent *Times'a* podnosi ofensywny charakter ćwiczeń i jest zdania, że głównie sztab wiele z nich skorzystał. Po raz pierwszy zastosowano w europejskim terenie i na wielką skalę sposoby wypróbowane przez Ósmą Armię w Libii, zwłaszcza współpracę sił powietrznych i lądowych. Sztaby Armii i R.A.F.'u pracowały w łącznych grupach co w wyniku równało się ujednostajnieniu dowództwa. "Z wojskowego punktu widzenia po niezbyt udanym początku sposób ten okazał się wcale skuteczny mimo iż niektórzy wyżsi dowódcy uważali, że ich zlecenia są ważniejsze od innych." Dokładnemu opisowi tej współpracy lotniczo-lądowej poświęca *Times* osobny artykuł. Z krytycznych uwag *Times'a* należy wymienić zastrzeżenia co do sprawności działania kuchni polowych. Sprawa ta choć na pozór nieważna, gra niewątpliwie dużą rolę w utrzymaniu sprawności i "moral" wojska.

Korespondent *News Chronicle* Ronald Walker, który podobnie jak *Times* i inne pisma na pierwszym miejscu ważności stawia nauki wynikające z współpracy lotniczo-lądowej, wyciąga następujące wnioski. Uważa on, że "zburzenia" których dokonał von Rundstedt "celem opóźnienia pochodu wroga były obosieczną bronią gdyż uniemożliwiły wycofującej się armii ewentualne przeciwuderzenie. Walker jest także pełen podziwu dla stopnia skuteczności kamuflażu jaki osiągnięto oraz dla doskonale zorganizowanej "inter-komunikacji" i informacji.

Illustrated obok szeregu doskonałych zdjęć które uzmysławiają rozmiar i realizm manewrów, zamieszcza również bardzo wnikliwą, choć raczej "cywilną" korespondencję. Dwie uwagi zasługują na zacytowanie.

"Sztab główny nazwał te największe manewry, jakie kiedykolwiek odbyły się w Wielkiej Brytanii *Exercise Spartan*. Była to wprawdzie tylko czysto techniczna nazwa która nie miała na celu określenia "jakości" ćwiczeń, niemniej gdyby nie kapryśna łagodność pogody, tak niezwykła o tej porze roku, manewry naprawdę mogły zasłużyć na tę nazwę."

Druga uwaga dotyczy t.zw. *battle drillu*. "Dawniej jednostka atakowała wroga poczem okopywała się, czekając aż dowódca wypracuje nowy plan działania. Wykonanie takiego planu zajmowało sporo czasu, często parę dni. Wymagało ono działań rozpoznawczych, oceny sytuacji i długotrwałych narad. *Battle drill* przewiduje wszystkie sytuacje w jakich znaleźć się może drobna jednostka—pluton lub kompania—określa je dokładnie i daje ich rozwiązanie. Żołnierzy szkoli się jak mają oceniać sytuację i jak korzystać z tych schematów. Tak więc dowódca oddziału, gdy zaskoczy go jakaś nowa sytuacja—mówi po prostu: Plan 4 albo Plan 5 i wszyscy od razu wiedzą co mają robić."

Inne pisma wysuwają na pierwszy plan stronę opisowo-anegdotyczną.

Noel Monks z *Daily Mail'u* opisuje wyposażenie armii: "Miejscami mijałem konwoje ciągnące się na dziesięć mil wiozące "grubszy materiał"—czołgi i działa polowe, oraz "lżejsze" wozy. Na pewnym dużym polu widziałem więcej baterii 25-cio funtowych, niż ich miała cała Armia Brytyjska w 1939 r. Widziałem Kanadyjczyków w akcji z nową tajną bronią przeciwpancerną, którą sami udoskonalili. Podczas prób zatrzymywali potężne czołgi "Churchille" i unieszkodliwiali."

Daily Sketch podkreśla sprawne działanie transportu: "Przeprawy przez rzeki—Tamizę i Kennet, okazały się trudne dla "najeźdźców." Bardzo wiele mostów było gruntownie zburzonych, a saperzy podczas budowania nowych dla transportu ciężkiej broni pancernej, byli pod stałym ogniem bombowców i myśliwców. Transport czołgów i ciężkich dział był doskonale przeprowadzony. Jednostki zmotoryzowane i *Bren-Carriersy* przerzucano głównie nocą. . . ."

Daily Express zwraca uwagę na doskonałą organizację lotnisk, które sprawnie i szybko budowano tuż za linią w miarę posuwania się wojsk.

Bardzo ciekawą nowością jest wprowadzenie gazety wojennej. Obie strony wydawały w czasie manewrów swą gazetę codzienną i stanowi to jeszcze jeden dowód na to, jak bardzo postępowo Anglicy podchodzą do wszystkich zagadnień wojny. Żołnierz nie powinien nigdy zapomnieć o tym, że jest także obywatelem i dlatego nawet w ogniu walki winien być o wszystkim informowany.

Sprawę tę opisuje *Scotsman*: "Najeźdźcy mieli *Advance Post*, gazetę przynoszącą własne korespondencje wojenne, fotografie, mapy, nawet karykatury i nie tylko ogólne światowe wiadomości, ale także komunikaty z ich własnej "prywatnej" wojny."

W prasie polskiej manewry nie znalazły oddźwięku. A szkoda —dla polskiego reportera wojskowego byłyby one doskonałym przygotowaniem do zadań, które go czekają, gdy armia nasza wejdzie w akcję.

DOMINIK SZCZERBIC

Od wrót Tamerlana do Piccadilly

IV. Ku Ziemi Obiecanej*

SZAT-EL ARAB

Wyobraźcie sobie w dorzeczu Tygrysu i Eufratu trochę piaszczystych wydm i wśród nich taflę sporego jeziora. Nad tym zaś jeziorem — kilkanaście tysięcy ludzi, rozlokowanych w rozgrzanych południowym słońcem namiotach.

Wyobraźcie sobie do tego skorpiony, węże, kurz, upał i przeludnienie. No i ten "nieszkodliwy" polski konserwatyzm — wprawdzie mniej groźny od angielskiego, ale nakazujący ludziom w strefie podzwrotnikowej karmić się, jak w Polsce, "tłusto i obficie" w południe, a "lekko" wieczorem. Będziecie mieli wówczas pewne pojęcie czym był obóz w H . . .

Jezioro, tajemnicze i ponure — bo nie wiedzieć skąd ta woda zdołała się tu utrzymać /podobno ma jakieś podziemne połączenie z Eufratem/ — wieczorem zaludniało się nagle. W dzień — śmiałka chcącego się w nim kąpać, z pewnością trafiłby szlag! Jednakże przed zmierzchem panował tam taki tłok, że — mówiąc stylem Zagłoby — po łbach można by stąpać . . . Woda zaś — w myśl znanego podania — przypominała wielce wodę w Morzu Czerwonym po przejściu narodu wybranego.

Zmierzch podzwrotnikowy zapadał tak szybko, że często kąpiący się nie mogli później odnaleźć drogi do namiotów. Poza tym trawił ich głód, bo kąpiel dodawała apetytu, "polska lekka kolacja" nie zadawalniała żołnierskich żołądków, a obiadu . . . w ogóle nie zjadano. Stać przy 50° ciepła w ogonku i brać zupę, która w godzinę po przyniesieniu do namiotu jeszcze dymiła — było ponad siły. Daremnie tłumaczono komu należy, że trzeba przejść na podzwrotnikowy system jedzenia — lekki lunch i suty obiad wieczorem. Konserwatyzm zwyciężył.

Nie inaczej było z alkoholem, którego zresztą nie nadużywano. Ale wiele trudu kosztowało wytłumaczenie niektórym osobnikom, że picie wódki lub ciężkiego arabskiego wina, w tym klimacie dopuszczalne jest tylko w nocy. Dopiero kiedy taki — "nic mi nie będzie" — rozciągał się jak długi pod wpływem udaru, następowało przymusowe otrzeźwienie. I nie inaczej było z "opalaniem się." Mieliśmy sporo wypadków zanim pojęto, że Eufrat, to nie Wisła . . .

---

* Por. poprzednie artykuły cyklu: "Przez piaski Kara — Kum" druk. w nr. 1, "Śladami Aleksandra" druk. w nr. 6. "Droga do Bagdadu" druk. w nr. 9. "Polski Walczącej" z b.r.



Marynarze z "Garlanda" w Jerozolimie

PAJĄK I GENERAŁOWA

Winienem Czytelników przeprosić, że zaintrygowałem ich uprzednio postacią generałowej, poczem kazałem tak długo czekać na ciąg dalszy. Ale postaram się tę cierpliwość wynagrodzić.

Generałowa była "charakterna." Spojrzawszy na nią podziwiało się oczy koloru niezabudki i sylwetkę, godną pędzla boskiego Botticellego. Wyglądała tak skromnie i niewinnie, że człowiek ani przypuszczał ile przemożnej siły tkwi w tej "słabej" kobiecie. Dopiero okoliczności i opowiadania wykazywały całą słuszność twierdzenia, że generałowa ma w sobie jakąś moc tajemną, która podbija zarówno swoich, jak wrogów.

We wrześniu 1939 roku była gościem w polskim kresowym zamku. Zamek został doszczętnie zrabowany, jego mieszkańcy wywiezieni ale generałowej nikt nie tknął. Mieszkała dalej komfortowo, usługiwano jej, nie tknięto nawet rzeczy. Komisarze NKWD pukali do jej drzwi, przestępując z nogi na nogę, aż raczyła im pozwolić wejść. "Charakterna" . . .

W końcu pod zamek podeszli Niemcy. Zarządzono ewakuację. Młody "politruk" zameldował:

—"Generalsza — nada sobiratsia" /cały czas tytułowano ją jak należy/.

Oświadczyła, że musi zabrać ze sobą tyle i tyle rzeczy. Zgodzono się. Zażądała samochodu na stację. Zgodzono się, choć ze środkami przewozowymi było krucho. Powiedziała, że musi dostać osobny wagon. I tu sroga władza ustąpiła słabej polskiej kobiecie, ofiarowując jej całą "tiepłuszkę." Kto zna stosunki na sowieckich kolejach w czasie wojny, ten pojmie, że równało się to, w pojęciu zachodnim, ofiarowaniu specjalnego, luksusowego pociągu . . .

Pociąg jechał długo, usłużny "politruk" wyskakiwał na stacjach, przynosił jadło, wodę, opał . . . W końcu zatrzymano się na jakiejś małej stacyjce w okolicach Nowo-Sibirska.

—"Generalsza — prijechali, trzeba wysiadać" — oświadczył politruk.

—"Może pan wysiadać" — oświadczyła generałowa — "ja zostanę."

—"Dlaczego?"

—"Bo mi się tu nie podoba."

—"Generalsza — to nie żarty. Prikaz. Jeśli nie wysiądziecie, pridiotsia tierpiet, za was."

—"A cóż się stanie, jeśli pocierpi pan dla pięknej kobiety?"

Legenda nie podaje bliższych szczegółów. Fakt jednak, że generałową przewieziono w końcu do któregoś z miast syberyjskich, co w porównaniu do zgubionych w stepie chutorów — było luksusem. Gdy zapadła umowa polsko-sowiecka — odstawiono ją szybko i sprawnie "s'wieszczami" do polskiego obozu.

Tu generałowa "czarowała" dalej. Gdzie się ruszyła — chodził za nią pluton usłużnych rycerzy, wśród których nie brakło nawet dyplomowanych pułkowników. Opowiadano, że miała niegdyś sześciu najzupełniej legalnych mężów; ale cyfra ta była — naszym zdaniem — co najmniej o 30% przesadzona.

W Teheranie jakiś wysoki dostojnik perski zaproponował generałowej stanowisko pośrednie między damą dworu i wychowawczynią jego córki. Odmówiła. Wolała mieszkać w koszarach z "Pestkami." Trudy znosiła zresztą lepiej od wielu mężczyzn.

Generałowej może winien jestem życie. W każdym razie uchroniła mnie od przykrej przygody. Gdy o zmierzchu arabskim staliśmy przed jej namiotem, spojrzała na mnie swymi błękitnymi oczami i rzekła spokojnie:

—Po panu coś chodzi.

Struchlałem. To "coś" było trującym pająkiem wielkości małego talerza. Wspinał się po mojej nodze, usiłując sforsować wejście do "shortów." Jeszcze chwila, a byłoby zapóźno. Uderzony "stick'iem" jednego z oficerów, pająk wyzionął ducha w piasku, a ja ucałowałem — co najmniej z taką samą dozą wdzięczności, jak i przyjemności, dłoń generałowej.

Nazajutrz rano /spaliśmy w namiotach na piasku/ zabiłem jeszcze własnoręcznie dwa wesolutkie młode skorpiony, przeszkodziwszy im przedtem w samobójczym ugryzieniu się ogonem w głowę. Poczem mój sąsiad — chcąc mnie "splantować" — upolował pod wezgłowiem wspaniały okaz węża. Byliśmy tedy bardzo zadowoleni, gdy nastąpiła godzina odjazdu i fauna Mezopotamii pozostała za nami.

PRZEZ WIELKĄ PUSTYNIĘ

Dwa dni jechaliśmy poprzez bezmierne morze piasku. Samochód dowódcy konwoju oganiał nas, jak czujny pies trzodę. Jasne, że zepsuty czy zgubiony wóz — stracony byłby bezpowrotnie wraz z załogą, niczym zbłąkany na pustyni wielbłąd.

Trzeciego dnia wjechaliśmy w Pustynię Kamienistą. Jak okiem sięgnąć leżały czarne, wielkie i małe głazy, wśród których wiła się wąska wstęga szlaku. Zdawało się, że jakieś potworne czarty biły się tu kamieniami, pozostawiając po tej bitwie rumowisko zamienione w labirynt. Widok był tak groźny, że pustynia piaszczysta wydawała się przy nim spokojną idyllą.

Mijaliśmy miejscowości, znane z awanturniczych powieści Dekobry czy Benoît. "H3" — zgubiona w pustyni, romantyczna stacja rurociągu naftowego. Rutba — maleńka osada nad wyschłym łożyskiem potoku. "H5" — inna stacja rurociągu w fort zamieniona. Mimowoli przychodziły na myśl "Tajemnice Hoggaru," "Kasztelanka Libanu," przygody Lawrence'a i cuda Palmiry.

Spaliśmy w nocy na piasku, a kołysał nas do snu zimny wiatr pustyni. W dzień dokuczały upał i pragnienie, w nocy chłód i sypiące piachem podmuchy. Dopiero pod koniec czwartego dnia ujrzeliśmy trochę zieleni. Byliśmy w Transjordanii.

Wspaniałymi serpentynami zaczęliśmy zjeżdżać w dół. Przed nami — u stóp nagich gór, leżała Ziemia Obiecana. Przecięliśmy kolej Hedżaską i na starym kamiennym moście — Jordan. Niebawem wjechaliśmy w sieć doskonałych asfaltowych dróg, otoczonych winnicami i gajami pomarańczowymi. Minęliśmy nowoczesny Tel-Aviv, gdzie urzędowało grono rodaków, po staremu celebrujących w kawiarni "emigracyjny parlament." Aż w końcu zawitaliśmy do doskonale urządzonych obozów.

Witała nas gościnnie Palestyna.

JIM POKER

WIERSZE

OSZUKANE

Wiatr do drzwi się dobija, strudzony przechodzień,
niebo szare jak życie, czas zastygł, jak codzień.
Patrzą słupy przydrożne, stojące w szeregu,
na targane rozpaczą siwe włosy śniegu.

Tak czekałyśmy obie! Ty wiosno na niebie
oczekiwałaś maja, ja — czekałam ciebie,
a dziś w nas obu płacze sybirska zawieja . . .
Maj oszukał cię wiosno. Mnie — moja nadzieja . . .

Kazachstan, 5 maj 1941 r.

SIOSTRZE DALEKIEJ

/odpowiedź na wiersz "Październik" Marty Reszczyńskiej/

Jakże różne bywają jesienie, kochana . . .
Twój wiersz o cudnym dniu październikowym
czytam, na zziębłej ręce smutną wsparłszy głowę
i pieszczę rząd słów lekkich w rytmie koronkowym . . .

Napisałaś go kiedyś dla mnie, dla mych smutków,
o "sercu, pomnym wiosny słonecznych uniesień" . . .
Lata przeszły i przyszła do mnie czarna jesień,
gdy los mnie zgniótł naprawdę, rzucił na kolana —
z żalu po t y c h jesieniach płaczę pocichutku . . .
Jakże różne jesienie bywają, kochana . . .

Ten październik nie stroi się dla mnie w brokaty,
tylko w szarość zmrożoną, życia trud i obcość,
tylko w żal po straconym, w bezsiłę, w samotność.
Bezbronna jestem, sama, wichrami owiana . . .

I tylko czytam przeszłość w twych słowach skrzydlatych
i jeszcze czekam . . . czekam za wszystko zapłaty.

Serce, chore z tęsknoty kąpię w słodkich lekach:
dziękuję za Twe wiersze, Siostrzyczko daleka . . .

Przyirtyszski Sowchoz, październik 1940

KŁAMSTWO I PRAWDA

Księżycowo białe góry poza mną
mają w sobie coś z fantazji, coś z bajki.
Cisza dzwoni nocnych szmerów mozajką,
cisza drzemie wśród namiotów w noc ciemną . . .

Zakochane w kwiatów płatkach stulonych
ciepłe szczęście po kamieniach w noc chodzi.
Majak nocy światłocieniem mnie zwodzi . . .
Nie chcę wiedzieć nic o smutkach minionych . . .

* * *

Ginie złuda — dekoracja kłamstw nocnych . . .
Prawda mówi bólem ostrym i mocnym:
miękka rzeźba nocnych snów światłocieni
jest . . . kamieniem. Ciężkim, szarym kamieniem.

A zaś szczęście, to z słonecznych promieni
w twojej mocy i w zasięgu twych dłoni.
O, jak głupio ciągle szukać i gonić,
jeśli p r a w d y nie potrzeba już zmieniać.

Moje szczęście teraz mówi mi o tym,
że co marne — to się czyści w płomieniu,
że iść trzeba przez pokutne kamienie
by znów dostać — najcieplejsze i złote . . .

Londyn, grudzień 1942.

HALINA TERLECKA

PATRZĄC NA MEWY

Skrzą się mewy migotnie i kołują pętlami,
unoszone szerokim rozwiewem.
Chociaż widzą — nie wiedzą, co jest w górze nad nami,
i ja z ziemi nie widzę i nie wiem.

Nie dostrzegam daleko, choć poglądam wysoko,
bo mnie wichry nie niosą w obłoki.
Tylko ludzkie mam zmysły, tylko ludzkie mam oko,
tylko ludzki lot — nie wysoki.

Zato serce mi mocno rytm wybija ponocnie,
kiedy słyszę lecące motory,
kiedy ciągną i ciągną eskadrami obłocznie,
huczny organ na krwawe nieszpory.

Gdybyż jeszcze się zrywać, gdyby z nimi ulatać
i bombami łomotać w zło świata . . .

— — — — — — — — — —

Koniu, gniady mój koniu, i ty byłeś skrzydlaty
w me bojowe, młodzieńcze lata!

Miałeś skrzydła jaskółcze, gdyśmy parli po błoni
żeglującym w burzanach okrętem.
Czarodziejskim galopem, samojeden w sto koni,
cwałowałeś na wroga z tętentem.

Byłeś prawdą i bajką, Rosynantem, Pegazem,
pęd twój w skrzydła poszumne otulał . . .

— — — — — — — — — —

Koniu, gniady mój koniu, czemu wtedy od razu
nie skosiła nas błędna kula!

ANTONI BOGUSŁAWSKI

W Afryce Zachodniej



Tornado nadchodzi



Drzewo kapoku

II.*

KRZYŻ POŁUDNIA

W kabinie bardzo duszno. Biorę mój "dymak," koc i idę na pokład. Jest więcej amatorów świeżego powietrza i z trudnością znajduję miejsce pod łodzią ratunkową. Noc jest spokojna, na bezchmurnym niebie świeci "Wielka Niedźwiedzica." Stoi ona dyszlem do nieba, jak wywrócona chłopska fura. Tylne koło wozu jest prawie na horyzoncie. Przebiegam okiem drogę mleczną. Na jej południowym krańcu świecą cztery gwiazdy w formie niezupełnie regularnego krzyża. To Krzyż Południa — wielka konstelacja południowej półkuli, owiana legendą dalekich podróży i niezwykłych przygód na szlakach gorących mórz.

Jesteśmy około 5 stopni na północ od równika. To jedno z nielicznych miejsc, gdzie obie wielkie konstelacje są widoczne. Jestem rozczarowany widokiem "Krzyża." Jest bezwzględnie przereklamowany; nieduży, z czterech gwiazd jedna zaledwie widoczna. Gdzież temu krzyżykowi porównywać się z naszą północną Niedźwiedzicą.

TORNADO

Czarny welon przesłania niebo. Gwiazdy nikną. Jest tak ciemno, że nie widzę własnej ręki. Nagle w ciemności coś się zakotłowało. Bez wstępów huragan uderza w nasz statek. Niebo otwiera swe spusty i w ciągu paru sekund czereda miłośników snu na świeżym powietrzu, ociekając wodą, szuka schronienia we wnętrzu statku.

"Stary człowiek wybrzeża" wyciąga fajkę z pyjamy zmoczonej do nitki, i spokojnie ją zapala. "Tornado" — mówi — "one zawsze przychodzą na początku i na zakończenie pory deszczowej, która w tych stronach trwa mniej więcej od maja do listopada." Po godzinie wszystko się uspokaja. Koc jest mokry, ale i tak jest ciepło. Śpię w pyjamie bez żadnego nakrycia.

Rano budzi mnie drugi prysznic. "*Washi decki*" — krzyczy Malajczyk i bez pardonu leje sikawką wodę na pokład, z którego znikają ostatnie śpiochy. I ja do nich należę. Jest dopiero szósta. Słońce świeci, mimo że jeszcze 20 minut temu była noc.

Świt i zachód słońca koło równika trwa 20 do 30 minut. Dzień równy jest nocy i tylko astronom wyliczy, że czasem dzień ma 12 godzin i 30 minut zamiast równych 12. Praktycznego znaczenia jednak to nie ma. Pierwszy raz czuję, że kraj, do którego płynę to kraj kontrastów. Gdzie czerń jest czarna jak otchłań, a białość oślepia. Gdzie ludzie żyją szybko i nie chorując długo, umierają. Gdzie dzień nie przekomarza się z nocą, ale po prostu następuje, wchodzi w jej miejsce.

Statek płynie wzdłuż brzegów. Są niskie, bagniste. Z dala widać zarysy palm. Gdzieniegdzie parę okrągłych lub prostokątnych chałup pokrytych trawą, parę łodzi. Kilka czarnych, nagich postaci krząta się w okół rozpiętych na długich bambusach sieci.

ZŁOTE WYBRZEŻE

Jedziemy samochodem wzdłuż wybrzeża. Prowadzi czarny, jak smoła Amadu. Prowadzi oczywiście boso, przyciskając akcelerator dużym bosym palcem u nogi. Myślę, że musi mieć dobre wyczucie gazu. Po obu stronach drogi wytrzebiona puszcza. Krzaki. Od czasu do czasu palmy olejowe, bananowce i plantacje kakao. Wszystko jest mocno zielone /koniec pory deszczowej/. Kwiatów nie widać.

Robimy krótki postój w cieniu olbrzymiego kapoku /*Cotton tree*/, które na oko ma nie mniej, niż 10 pięter wysokości. Jego potężne korzenie, jak macki przedpotopowego potwora trzymają się mocno ziemi. Nie wiem, czy 15 ludzi objęłoby pień u podstawy. Ten imponujący olbrzym nie jest właściwie drzewem, ale po prostu chwastem zakrojonym na afrykańską miarę. Nie pali się, ani nie nadaje na budulec, bo nie ma drewna. Jego jedyna przydatność, to skromna ilość bawełny — kapoku — która pod koniec sezonu suchego napełnia rozgrzane powietrze "afrykańskim śniegiem."

Obok kapoku mała, wypalona w *bushu* polanka. Ta pierwotna metoda gospodarki rolnej jest nadal wszechwładna w Afryce. By coś zasiać, czy zasadzić — pali się kawałek lasu, czy *bushu.* Gdy ziemia się wyjaławia, pali się następny. Na polanie widzę krzaczki manioku /*Cassava*/, którego korzeń ważący nieraz parę kilo przypomina w smaku nasz kartofel. Parę drzewek bananowych o wielkich zielonych liściach. Wiszą na nich pęki zielonych bananów. Są już dość duże i pewnie za parę dni kiść zostanie ucięta i zawieszona przed chatą, by banany dojrzały. Jest i zagon ananasów.

Prawo puszczy dozwala wędrowcowi zerwać owoc do natychmiastowego spożycia. Nożem ofiarowanym mi przez miłą Szkotkę mocuję się z ananasem. Ma kolce i broni się dzielnie, w końcu jednak ofiarowuję towarzyszom podróży po grubym placie tego owocu. Jeden tylko Amadu patrzy na nas z politowaniem. Żeby dorośli ludzie jedli takie dziwolągi. To dobre dla dzieci. Kawałek *corned beef* z puszki — to jest jedzenie godne mężczyny.

"CASA" W ELMINA

Jedziemy nad samym morzem. Z zakrętu drogi widać miasteczko, a nad nim bieleją mury zamczyska. Zamek stoi nad samym morzem, potężna fala bije w skałę, na której go wzniesiono. Budowla nosi charakter wyraźnie mauretański i widać dobrze, że narastała wiekami na skale, jak grzyb. Pytam kędzierzawego chłopaczka, który przywitał mnie grzecznym: "*Good morning,*" co to za budynek. Mówi: "*Casa.*"

TROCHĘ HISTORII

Około roku 1400 Europa mało co wiedziała o Afryce poza jej śródziemnomorskim wybrzeżem. Mówiono, że gdzieś na południe od Sahary, piekła słońca i piasku, istnieje kraj obfitujący w złoto, kość słoniową, korzenie i czarnych niewolników.

Po niepowodzeniu wypraw krzyżowych, finansowanych przez kupiectwo Europy, droga na Wschód dla Zachodniego Chrześcijaństwa została zamknięta. Ale Europa głodna była złota, drogich kamieni. Król Portugalii Henryk, zwany później Nawigatorem, przygotował w r. 1418 wyprawę, która miała udać się na południe od najdalszego znanego miejsca w Afryce przylądka Bajador /w dzisiejszym Rio d'Oro/. Sztorm nie dozwolił małej flocie króla Henryka wykonać zadania. Wiatr zapędził niektóre okręty na zachód i . . . odkryto Maderę. Król Henryk zmarł wkrótce, jednak jego następcy nie zarzucają myśli wypraw na południe. Około 50 lat później Portugalczycy zjawiają się na "Złotym Wybrzeżu." Ląd jest niegościnny, choroby zabijają ponad połowę załogi. Ci jednak co szczęśliwie wracają, są obładowani złotym piaskiem i kością słoniową.

Rozpoczyna się era t.zw. "handlu bez słów" /*silent trade*/. Portugalczycy mieszkają na okrętach i jedynie lądują na wybrzeżu wytwory przemysłu Europy. Gdy noc zapada, tubylcy przynoszą złoty piasek i kość słoniową i znikają. Nie był to łatwy targ. Portugalczyk zastawia na piasku n.p. jeden nóż. Gdy powraca nad ranem znajduje koło niego pół uncji złotego piasku. Gdy cena mu nie odpowiada, pozostawia nóż i złoto. Tubylec dokłada następne pół uncji. Cena została ubita. Portugalczyk zostawia więcej noży, i zbiera cenne uncje złotego piasku. Handel daje olbrzymie zyski.

W roku Pańskim 1482 Don Diego d'Arambuja ląduje w miejscu gdzie stoi góra, z której tubylcy wydobywają złoto. Nazywa ją na swych mapach *La Mina* /kopalnia/. Pięć wieków historii przekształca tę nazwę w "Elmina." Don Diego przywozi ze sobą nie tylko towary do wymiany, ale budulec na zbudowanie fortu. Tak powstaje pierwsza "Casa" na wybrzeżu Zachodniej Afryki. Don Diego jest w licznym i dobranym towarzystwie. Jednym z jego statków dowodzi Bartholomeo Diaz, który w sześć lat później opłynie Przylądek Dobrej Nadziei. Z nimi również wylądował Wielki Samotnik, który błądząc po białej od słońca plaży Elminy, oczy swe kierował na Zachód. Nazywał się Krzysztof Kolumb.

Mummy, która mi sprzedaje trzy pomarańcze za pensa, nie interesuje się Kolumbem. Wie ona jednak, że jest wzgórze w Elminie, które jest *Ju-Ju* i do którego lepiej się nie zbliżać. Jest to stara *La Mina*, w której prawdopodobnie sztolnie zawalając się spowodowały śmierć w dawnych wiekach górników i stąd *Ju-Ju*. Mimo że kopalni już nie ma, złoto ciągle leży w ziemi. Po okresie deszczów z piasku małych strumyków *mummy* z łatwością wymywają prymitywną metodą talerzy — do 5 szylingów złota dziennie.

Chodzę po zamku. Mimo oślepiającego blasku słońca i białości murów nie jest to miejsce wesołe. Widzę olbrzymi loch, z którego dziś jeszcze zdają się dochodzić jęki setek niewolników stłoczonych w ohydnych sanitarnych warunkach przed załadowaniem na *slavery* — statki niewolnicze. Gdy idę korytarzem swego rodzaju *Ponte dei Sospiri* zamku Elminy, czarne, lepkie ściany zdają się być przesiąkłe zapachem potu i krwi czarnych.

Korytarz wychodzi na plażę zalaną słońcem. Na plaży parę łodzi. Nie tak dawno jeszcze oczekiwały one na czarny towar skuty łańcuchami, dziś służą do połowu ryb.

Elmina przez wieki była jednym z głównych centrów handlu niewolnikami. Rozmiary tego handlu trudno ustalić. Francuskie źródła podają, że od XVI do XIX wieku Afryka utraciła 100 milionów ludzi, którzy bądź zostali niewolnikami, bądź zginęli w czasie wojen międzyplemiennych o posiadanie tego drogocennego towaru.

Kongres Wiedeński uznał handel niewolnikami za piractwo. I od tej chwili okręty Jego Królewskiej Mości Króla Anglii rozpoczęły bezwzględną walkę z tą zmorą czarnych ludzi. Z tych czasów datują się pierwsze oficjalne raporty o warunkach w jakich przewożono niewolników.

Na pięknie nazywającym się *slaverze* — "Young Hero" z 250 niewolników 132 znaleziono nieżywych, reszta zaś miała wrzody i dezynterię. Stłoczeni byli w ten sposób, że jeden leżał na drugim lub musieli stać. Trupy skute były jednym łańcuchem z żywymi. "Christiania" schwytana paręset mil od Indii Zachodnich miała 152 trupy na pokładzie z 384 niewolników, którzy stanowili jej ładunek.

Mummy piorą barwne płachty w rzeczce Elmina, dzieciaki wystawiają główki z poza obszernych bioder swych mamuś. Małe chłopaczki pozdrawiają nas afrykańskim skinieniem dłoni, które przypomina ruch ścierania kredy z tablicy. Rzeczka płynie spokojnie do Oceanu. Jeszcze niedawno temu dzieciaki wynajdowały w jej mulistym dnie złote ozdoby, przeważnie kolczyki. Tędy prowadzono niewolników z puszczy Ashanti do zamku. Gdy przechodzili rzekę, rzucali kolczyk do wody. Tak chcieli ubłagać boga rzeki, by nie dał ich zabrać w niewolę za Wielką Wodę.

PIERWSZA NOC NA LĄDZIE

Przyjeżdżamy tuż przed zachodem słońca. W czasie, gdy boy przygotowuje mi ciepłą kąpiel, robi się noc. Mój pokój jest nieduży, ma szerokie okna. Pośrodku łóżko polowe i moskitera zwieszająca się od sufitu.

Przebieram się do kolacji. Długie spodnie, buty moskitowe, koszula i kurtka. Buty mają długie cholewki, które wchodzą pod nogawki spodni. Są one według naszych instrukcji najlepszym środkiem przeciwko ukąszeniom moskitów przenoszących malarię. Moskit Anopheles lubi cień i rzadko fruwa wyżej, niż na wysokości pasa. Jest bezszelestny.

Widzę nikły cień koło mojej nogi. Uderzam ręką. Jest. Maleńki, ma kropki czarne, jak krzyże na "Messerschmidcie." To on, nasz wróg — Anopheles.

Wiatr od morza ucichł. Jest bardzo duszno, pot spływa mi z czoła i koszula lepi się na plecach. Trzeba będzie się do tego przyzwyczaić. Po zjedzeniu kolacji, jestem zmęczony i wracam do pokoju.

Zza okna dochodą mnie odgłosy Afryki. Koniki polne śpiewają wysokim sopranem, odpowiadają im basem żaby drzewne. W ciszę nocy wdziera się głos bębna. Rytm jest przerywany, bęben coś mówi, kogoś woła w głębi kraju. Za chwilę słyszę z daleka odpowiedź. Bębny prowadzą długą rozmowę.

Zasypiam.

HENRYK GIEŁDZIŃSKI

* Por. nr. 12 "Polski Walczącej" z b.r.

Mała sprzedawczyni



Przyszła piękność



Książki o wojsku i wojnie

"Modern Warfare" generała Sikorskiego



Generał Wł. Sikorski

"Metody ostatniej wojny, bezkrytycznie przyjęte, bardzo często kształtują myśl wojskową jeszcze w przeddzień wybuchu wojny następnej. Nowe idee zjawiające się nieoczekiwanie, obalają niejednokrotnie zwolenników starej doktryny, grożą klęską tym, którzy zaprzysięgli jej wierność" /z przedmowy/.

Przyjrzyjmy się, o ile teorie wojny nowoczesnej wysunięte przez autora w książce, wydanej w połowie 1934 r. (a teraz przetłumaczonej na język angielski)* — zostały usprawiedliwione przez dotychczasowy rozwój wypadków.

POD GROŹBĄ NOWEJ WOJNY

"Pokój będzie trwał tak długo, jak długo jego zwolennicy będą zdolni do zjednoczenia się celem jego obrony, jeśli zajdzie potrzeba — obrony siłą. Można pokoju pragnąć, bronić go lub narzucić; nie uda się jednak kupić go, obojętnie jaką cenę by się ofiarowało."

Autor dochodzi do tego wniosku po rozważeniu rozwoju stosunków politycznych Europy po Traktacie Wersalskim. Liga Narodów od zarania swego istnienia, wbrew najlepszym intencjom swych założycieli, zawiodła jako narzędzie utrzymania powszechnego pokoju.

Czy wobec tego wraz z instytucją zbankrutowała sama zasada zbiorowego bezpieczeństwa?—Nie. Tylko należy zastrzec, że bezpieczeństwo to—aby było powszechne—winno spoczywać w rękach niezależnego trybunału międzynarodowego, zamiast być narzędziem kilku tylko rządów. Arbitraż natomiast, by miał swe praktyczne znaczenie, musi mieć za sobą jako sankcję, siłę zbrojną, która jedynie jest zdolna do utrzymania pokoju.

Siła ta zorganizowana na nowoczesnych zasadach ma być w swych łącznych efektywach dostatecznie duża do wykonania powierzonego jej zadania, — będąc jednocześnie ograniczona w każdym poszczególnym państwie.

Z zasady, że siła jest "*ultima ratio regum*" wyciągnęły pełne konsekwencje Niemcy, Włochy i Japonia—zwolennicy imperializmu nacjonalistycznego oraz Sowiety—wyznawca imperializmu klasy. Oba obozy we właściwym czasie otwarcie sformułowały swe programy i zabrały się do roboty. Autor omawia szczegółowo przygotowywanie się głównych wymienionych państw do wojny. Przyszłego konfliktu nie da się zlokalizować, będzie powszechny; niewykluczone, że wojna ta obok politycznego będzie miała charakter socjalny.

—Jaka była rozgrywka — widzieliśmy. Co przyszłość przyniesie — "*remains to be seen.*"

Druga część książki traktuje wyłącznie zagadnienia nowoczesnej wojny i problemy obrony narodowej.

KOMPETENCJE RZĄDU I NACZELNEGO DOWÓDZTWA

Wojna nowoczesna będzie wojną totalną. Środki techniczne niepomiernie wzmogą możliwości ofensywne napastnika, który będzie szukał rozstrzygnięcia w jednoczesnym zaatakowaniu wnętrza i obszarów granicznych napadniętego kraju.

Czy będzie to wojna krótko czy też długotrwała?—Szybkie decyzje zapadną w stosunku do państw, nad którymi agresor posiada druzgocącą przewagę lub też wyzyska w pełni moment zaskoczenia. W wypadku kiedy siły stron będą względnie równoważone — wojna się przedłuży. Na uwagę zasługuje fakt, że przygotowania wojenne Sowietów opierają się na założeniu wojny długotrwałej.

Ze względu na charakter przyszłej wojny zachodzi specjalna konieczność zmiany dotychczasowych sposobów jej kierownictwa tak z punktu widzenia naczelnych organów cywilnych, jak i wojskowych poszczególnych państw oraz koalicji.

Po wykazaniu błędów popełnionych z tego punktu widzenia po obu stronach w ubiegłej wojnie autor konkluduje: Przebieg operacyj i wszystkie decyzje z nim związane należą do naczelnego wodza, odpowiedzialnego za swe posunięcia przed rządem. Niebezpieczeństwo, jakie grozi demokracjom na wypadek wojny, nie leży w ewentualności przyjęcia dyktatury przez naczelnego wodza, lecz w możliwości powstania chaosu kompetencji władz.

W czasie pokoju zadanie przystosowania państwa do wojny należy do Rady Obrony Narodowej i Najwyższego Komitetu Wojennego. Rada Obrony Narodowej kierowana przez premiera koordynuje prace różnych resortów w zakresie politycznym i ekonomicznym.

Za ściśle wojskową stronę odpowiada generał wyznaczony na naczelnego wodza, który koordynuje prace wojska, marynarki i lotnictwa bezpośrednio, lub w zależności od ministra wojny.

Racjonalna organizacja obrony narodowej w czasie wojny winna obejmować zredukowany gabinet wojenny z premierem na czele. Gabinet ten, posiadając pełnomocne uprawnienia nadane mu przez Radę Obrony Narodowej, odpowiada za ogólne kierownictwo wojny. Odpowiedzialność za kierowanie operacjami spoczywa całkowicie w rękach Naczelnego Dowództwa.

NOWOCZESNA ARMIA

"Skoncentrowanie w wybranym momencie i miejscu możliwie największych sił" — zasada Clausewitz'a pozostanie nadal aktualna. Autor dodaje: "... nie tylko wielkość efektywów, ale i jakość armii zadecyduje o zwycięstwie." Na kierunku głównego wysiłku będą użyte najbardziej wydajne środki: artyleria, lotnictwo, czołgi, etc.

Z postępem przemysłu wojennego stosunek układu sił zbrojnych w Europie uległ zasadniczej zmianie na korzyść państw dobrze uprzemysłowionych. Powoduje to potrzebę dokonania zasadniczej rewizji metod prowadzenia wojny i systemu organizowania sił zbrojnych.

Przygotowywanie się do wojny z punktu widzenia obrony narazi państwo na krwawe straty i wykaże jego niższość w stosunku do agresora przynajmniej w pierwszym okresie wojny. W tym tkwi niebezpieczne nieporozumienie, o ile chodzi o stronę moralną propagowanej przez pacyfistów wojny obronnej.

Po rozważeniu skrajnych poglądów propagujących oparcie obrony narodowej wyłącznie na armiach zawodowych albo też na systemie milicji, autor dochodzi do wniosku, że jedynie armia stała, oparta na powszechnym poborze może w obecnych okolicznościach sprostać temu zadaniu.

Szkieletem tej armii winien być korpus zawodowy o wysokim poziomie moralnym i fachowym, zdolnym do wchłonięcia w ramy swej organizacji masy obywateli powołanych z mobilizacji. Ze względu na to, że średni stosunek ilościowy powołanych rezerw do korpusu zawodowego wyraża się jak 5: 1, w planowaniu poboru i szkoleniu rezerw należy przestrzegać następujących zasad, mających zapewnić pełną sprawność bojową zmobilizowanych jednostek.

Rezerwista winien odbywać ćwiczenia i ostatecznie być powołanym do tej samej formacji, w której odbywał służbę wojskową.

W czasie manewrów, obozów ćwiczebnych nie należy przeprowadzać podziału na osobne jednostki służby czynnej i rezerwy.

Nie wprowadzać podziału na jednostki mobilizowane i jednostki szkolne.

Powiększyć korpus zawodowych specjalistów, zwłaszcza technicznych. Można ich uzyskać na zasadzie zaciągu ochotniczego na nadterminowy okres służby. W szczególności chodzi tu o załogi czołgów i personel lotniczy.

Wyszkolenie prowadzić w kierunku ofensywnym. Żołnierz wyszkolony do natarcia będzie dobry również i w obronie—jest to zasada, której nie można odwrócić.

MOTORYZACJA I MECHANIZACJA ARMII ORAZ JEJ POSZCZEGÓLNE BRONIE

Następnie autor rozpatruje możliwości użycia w nowoczesnej wojnie poszczególnych rodzajów broni.

Stworzenie jednostek zmotoryzowanych ma na celu zwiększenie możliwości strategicznego manewru, mechanizacja ponadto daje przewagę taktyczną na polu walki.

Czynnik materiałowo-techniczny bez wątpienia odegra wielką rolę w nowoczesnej wojnie, jednakże stopień mechanizacji armii ściśle zależy od możliwości przemysłowych i surowcowych danego państwa.

C z o ł g i wraz z lotnictwem i środkami chemicznymi stały się charakterystycznymi broniami dwudziestego wieku. Użycie czołgów w ubiegłej wojnie było ograniczone do wytworzenia wyłomu w systemie fortyfikacyjnym przeciwnika. Wykorzystanie zaś miała przeprowadzić piechota. Zatem czołgi nie były bronią samodzielną.

Ambicją zwolenników czołgów jest zapewnienie im możliwości przeprowadzania samodzielnych działań. Autor liczy się z tym, że w przyszłości czołgi wejdą w skład mieszanych jednostek zmotoryzowanej piechoty i artylerii. Związki takie będą używane na skrzydła i tyły armij przeciwnika z zadaniem przełamania i wykorzystania—w sposób podobny do operacyj dawnej kawalerii. Biorąc pod uwagę olbrzymi rozwój techniczny czołgów, należy oczekiwać, że staną się one główną bronią przyszłej wojny.

— Nie mówiąc o kampanii 1939 r., najlepiej chyba ilustrującym przykładem powyższej teorii jest użycie czołgów przez Niemców i Francuzów w kampanii 1940 roku. Niemcy wyciągnęli wszystkie wnioski z obcego wynalazku ubiegłej wojny, tworząc pierwsi dywizje pancerne, do których ich przeciwnicy na długi czas nie mieli przekonania. Te dywizje śmiałym działaniem na głębokie tyły sparaliżowały armie alianckie już w pierwszych tygodniach ofensywy.

Nie wiemy nic o istnieniu w armii niemieckiej organicznych jednostek czołgów piechoty, jakkolwiek stosowane są one z powodzeniem przez armię brytyjską i rosyjską.

Od n o w o c z e s n e j p i e c h o t y autor wymaga większej siły ogniowej, a zwłaszcza moździerzy, dział przeciwpancernych i przeciwlotniczych. Musi ona być zdolna do zdobycia i utrzymania terenu.

—Tu należy podkreślić, że gorzkie doświadczenie z kampanii wrześniowej i francuskiej spowodowały może nadmierne niedocenianie przez nas roli piechoty w obecnej wojnie. Przypuszczam, że jest to wyłącznie wynikiem jej niedozbrojenia. Nie zapominajmy, że nawet w armii niemieckiej stanowi ona do dziś ponad 75% walczących wielkich jednostek, nie licząc oddziałów piechoty zmotoryzowanej.

W rozważaniach nad rolą a r t y l e r i i w nowoczesnej wojnie, autor podkreśla potrzebę jej zmotoryzowania oraz wprowadzenia dział opancerzonych o podwoziu mechanicznym. — Jak wiemy, myśl ta jest w zastosowaniu w armii niemieckiej /*Sturmgeschütz*/. Ostatnio dowiadujemy się o użyciu w Tunisie podobnych dział przez armie alianckie.

Artyleria winna być dostosowana do walki z czołgami i lotnictwem. Do walk ruchowych lepiej nadają się haubice ze względu na bardziej stromy tor pocisku, niż armaty.

Według gen. Sikorskiego—artyleria pozostanie jednym z głównych czynników nowoczesnej wojny zarówno w walkach ofensywnych jak i defensywnych.

Resumując, autor "Wojny nowoczesnej" podkreśla, że głównym czynnikiem, który wpłynął na potrzebę zmiany organizacji i taktyki nowoczesnej armii, jest postęp techniki. Dzięki temu lotnictwo z broni pomocniczej stanie się bronią samodzielną.

Ponieważ żadne państwo nie stać na zmechanizowanie całej swej armii, nowoczesna armia będzie posiadała wysoce wyspecjalizowane ruchome jednostki uderzeniowe, zdolne do przeprowadzania potężnych ofensyw na kierunku, na którym szuka się rozstrzygnięcia.

Struktura armii winna być elastyczna, a jej stopniowy rozwój równoległy do postępu techniki. — Wydaje się, że te wnioski nie wymagają komentarza.

LOTNICTWO

Książka poświęca lotnictwu osobny rozdział. Po rozpatrzeniu znanej doktryny gen. Douhet—gen. Sikorski stwierdza, że lotnictwo mimo swego wielkiego znaczenia, podobnie jak i inne poszczególne bronie—nie potrafi samo zadecydować o zwycięstwie.

W przyszłej wojnie widzi on lotnictwo samodzielne oraz lotnictwo współpracy z poszczególnymi broniami. Omawiając szczegółowo rodzaje poszczególnych rodzajów lotnictwa i ich zadania, specjalnie podkreśla znaczenie udziału lotnictwa w walkach naziemnych i bitwach morskich oraz ofensywy powietrznej—na tyły wojsk i punkty newralgiczne przeciwnika.

—We wzmiankowanym w książce typie samolotu bombardującego z niskiego pułapu można się dopatrzeć podobieństwa do używanego obecnie przez R.A.F. typu "Hurribomber." Zalecane bombardowanie dywizjonami lecącymi w zwartych formacjach zapewniających sobie wzajemnie obronę przed nieprzyjacielskimi myśliwcami, jest niczym innym, niż taktyką stosowaną obecnie z powodzeniem przez amerykańskie "Latające Fortece."

Autor nie przypuszcza, by bombardowanie lotnicze, nawet z użyciem środków chemicznych, mogło całkowicie załamać moral przeciwnika, pod warunkiem, że jego obrona będzie nowocześnie zorganizowana. Najlepszą obronę tak w stosunku do lotnictwa, jak i do innych broni zawsze najlepiej zapewnią własne działania ofensywne.

MOBILIZACJA

W rozdziale tym znajdujemy ogólne zasady, na jakich winna być oparta totalna mobilizacja państwa.

Znowu na pierwszy plan występuje fakt, tak wymownie w tej wojnie potwierdzony, że państwa które przyjęły doktrynę defensywną mogą być zaskoczone przez przeciwnika, ponieważ określiwszy termin uderzenia potrafi on wcześnie, częściowo w drodze tajnej, zmobilizować przemysł przed przeprowadzeniem mobilizacji sił zbrojnych.

Autor podkreśla konieczność rozbudowy przemysłu państw nieuprzemysłowionych. Zapewnienie czasu potrzebnego do mobilizacji trzeba oprzeć na ofensywnym planie osłony. Na uwagę zasługuje ustęp omawiający mobilizację moralną i polityczną państwa oraz znaczenie wojny psychologicznej.

ZNACZENIE ZASKOCZENIA, PLAN WOJNY, OPERACJE WSTĘPNE

Zagadnienia poruszone w ostatnich trzech rozdziałach książki są ściśle związane z poprzednimi. Ze względu na rozmiar niniejszej pracy i jej charakter, niemożliwe jest omówienie tu wszystkich spraw.

Czytelnik znajdzie w książce ogólnie ujęte zasady prowadzenia wojny na szczeblu Naczelnego Dowództwa. Autor dochodzi do nich przez badanie wojen poprzednich uwzględniając zmiany, które powstały na skutek wprowadzenia nowych środków walki.

W zakończeniu autor jeszcze raz przypomina, że tylko siły zbrojne zbudowane na zasadach odpowiadających wymogom nowoczesnej wojny są gwarancją utrzymania pokoju.

* * *

Rozważania nad charakterystyką i problemami nowoczesnej wojny w czwartym roku jej trwania nie należą do rzeczy trudnych. Dziś ma ona już swą bogatą bibliografię. W fragmentach została nawet sfilmowana.

Osiem lat temu, a pięć przed wybuchem wojny, trudniej było wypowiedzieć się na ten temat. Dodajmy, że naogół w państwach, które wychodzą z ostatniej wojny zwycięsko, nastawienie czynników odpowiedzialnych za przygotowanie się do następnej jest mniej podatne na rewizję poglądów.

Większość zasad, wygłoszonych przez autora, została już zrealizowana, niektóre jak np. użycie spadochroniarzy poszły dalej w swym rozwoju. Inne jak wojna chemiczna—mogą się sprawdzić w przyszłości.

To samo, jak przypuszczamy, można powiedzieć o przewidywaniach na temat ewentualności wybuchu wojny i podanych zasadach organizacji i utrzymania pokoju zawartych w pierwszej części książki. Dziś możemy stwierdzić z pewnością, że wojna nie była by wybuchła, gdyby wszystkie państwa alianckie zorganizowały się i przygotowały do niej tak, jak autor proponuje.

Każda wojna jest nowoczesną d l a e p o k i, w której się rozgrywa. Stąd wniosek, że nie jest wykluczone to, czego się obawiamy, iż także w przyszłości mogą być popełnione tragiczne pomyłki, które obserwowaliśmy, tak pod względem politycznym, jak i wojskowym—w okresie zawieszenia broni, między wojną światową nr. 1 a nr. 2. W chwili obecnej, kiedy słyszymy różne głosy na temat metod organizacji powojennej świata, rozważenie popełnionych błędów, które były do uniknięcia—jest jeszcze bardziej aktualne.

O ile chodzi o stronę wojskową, możemy tylko wyrazić żal, że po linii zasad zawartych w polskiej książce o "Wojnie nowoczesnej" bardziej poszli wrogowie, aniżeli alianci.

STANISŁAW DUCHIŃSKI

---

*W. Sikorski: "Modern Warfare: Its Character, Its Problems." Hutchinson and Co. (Publishers), Ltd. London, New York, Melbourne. Stron 176.

Z życia obozów

Pięć kursów Szkoły Podchorążych Piechoty

Ożywiona przyszłością myśl kierownictwa odbudowywanych sił zbrojnych Rzeczypospolitej—objawia się najwydatniej w prowadzeniu prac, związanych ze szkoleniem świeżych kadr instruktorskich. Znalazło to swój pierwszy, organizacyjny wyraz w utworzeniu już w październiku 1939 roku, a więc bezpośrednio po klęsce wrześniowej — Szkoły Podchorążych Piechoty w Pierwszym Obozie Wojska Polskiego we Francji, w słynnym i dziś już historycznym, bretońskim Camp de Coëtquidan.

Pierwszy turnus podchorążówki "koczkodańskiej" zasilił absolwentami szeregi oddziałów polskich, które zapisały już wcale ładną kartę walki. A przecież — dotąd wojna nie jest u swego kresu.

Drugi turnus Szkoły Podchorążych Piechoty w Coëtquidan — rozpoczął się w pierwszych dniach maja 1940 roku. W połowie czerwca jego praca została przerwana. Skierowano go na niedoszły front bretoński, a potem w olbrzymiej większości pomyślnie wyewakuował się do Wielkiej Brytanii. W lipcu, już w Szkocji, nastąpiła likwidacja ostatniego turnusu coëtquidańskiego. Podchorążówkę rozwiązano, zaś elewów przeważnie wcielono do Pierwszej Brygady Strzelców.

Uparty, niczym nieprzemożony duch ustawicznego odradzania się sił zbrojnych Rzeczypospolitej — niewątpliwie stał u kolebki kolejnego wznowienia podchorążówki w styczniu 1941 roku, w jednym z większych miast Szkocji. Tak rozpoczęła pracę dwukrotnie wznawiana Szkoła Podchorążych Piechoty, zrazu jako podchorążówka 1. Brygady Strzelców. Głównym promotorem wznowienia był ówczesny dowódca Brygady, gen. P., sam — przed laty — Komendant Szkoły Podchorążych. Szkołę otaczał również swą szczególną opieką pierwszy Dowódca I Korpusu Pancerno-Motorowego, obecny minister Obrony Narodowej wizytując często podchorążówkę, żywo interesując się postępami jej pracy. Był w tym znak jakiejś nieprzerwanej ciągłości, bo przecież gen. Kukiel był pierwszym Komendantem pierwszej podchorążówki w odrodzonym państwie polskim.

Uczniami wznowionej podchorążówki, przede wszystkim dwu pierwszych turnusów, stali się znów coëtquidańczycy, mający możność ostatecznego ukończenia kursu, przerwanego katastrofą francuską.

Na czołowej karcie Kroniki I Kursu czytamy: "W 505 dniu wojny, gdy Prezydentem R.P. był Władysław Raczkiewicz, Wodzem Naczelnym i Premierem Rządu R.P. z siedzibą w Londynie był gen. broni Władysław Sikorski, uruchomiony został dnia 18 stycznia 1941 roku w mieście . . . w Szkocji Pierwszy Kurs Szkoły Podchorążych Piechoty na terenie Wielkiej Brytanii."



P. Prezydent Rzeczypospolitej przyjmuje defiladę IV. Kursu Szkoły Podchorążych Piechoty i Kawalerii Zmotoryzowanej

/Zdjęcie Wojskowej Sekcji Filmowo-Fotograficznej/

W maju 1941 roku, mniej więcej w tym samym czasie, co w Bretanii — wszczął pracę następny II Kurs. Z jego Kroniki wyjmujemy poniższą introdukcję: "Polska stanowi osnowę, treść duszy naszego pokolenia. Wielu wśród nas miało to wielkie szczęście urodzić się już po roku 1918. W zasięgu odbudowywanej niepodległości. Dla tych nielicznych, których urodzenie przypada na lata bezpośrednio poprzedzające tamtą wielką wojnę — decydującym jest fakt, iż wzrastali, kształtowali się w nurcie pierwszych lat Polski wolnej."

Czas płynie. Szkoła kontynuuje działalność. We wrześniu 1941 roku rozpoczyna się III Kurs. Już nie tylko dla coëtquidańczyków. Ten kurs jest pierwszym, który odwiedza i wizytuje gość zaprzyjaźnionego narodu słowiańskiego. Gen. Milan Radović, osobisty przedstawiciel Króla Jugosławii, Piotra II, interesuje się ćwiczeniami i lustruje rejon zakwaterowania Szkoły.

Pod koniec III Kursu Szkoła przechodzi do Brygady Szkolnej, i uzyskuje bardziej wydłużone miano, jako: "Szkoła Podchorążych Piechoty i Kawalerii Zmotoryzowanej." Gen. G., dowódca Brygady, nader często przebywa w podchorążówce. Pracą Szkoły interesuje się opiekun podchorążówki z ramienia dowódcy Brygady Szkolnej — płk. kaw. Z.

W marcu 1942 roku — opuszczają mury szkolne nowi podchorążowie. Z wiosną zaś — rozpoczyna się już w innym miejscu postoju IV Kurs, i następny V — dziś trwający.

IV Kurs różnił się od poprzednich tym, że działał na innym miejscu postoju. Również w trakcie trwania prac IV Kursu odszedł na wyższe stanowisko do 1. Dywizji Pancernej dotychczasowy Komendant Szkoły, ppłk. K., który wychował trzy kolejno po sobie następujące turnusy podchorążych.

Rozszerzają się szeregi odbudowywanego na obcej ziemi wojska polskiego. Jakby ich rozszerzającą zapowiedzią, jakby nieustającym stwierdzeniem dalszych naszych rozwojowych perspektyw — ciągła i nieprzerwana praca szkoleniowa. Zasilają kadry instruktorskie armii nowi, młodsi podchorążowie. I dziś już jest powszechnie wiadome, iż tam wszędzie, gdzie obecnie znajduje się wojsko polskie — tam napewno są podchorążowie, wychowankowie szkockiej Szkoły. Ba — są już w lotnictwie. Są nawet w marynarce. Są w I Korpusie Pancerno-Motorowym w Szkocji przede wszystkim. Zasilili niezłym "komunikiem" nasze oddziały na Bliskim Wschodzie.

W okresie trwania IV Kursu dwukrotnie odwiedził był Szkołę Pan Prezydent Rzeczypospolitej, dając w ten sposób wyraz interesowania się naszych najwyższych czynników państwowych sprawami szkoleniowymi wojska. Były to w ogóle pierwsze wizyty Głowy Państwa we wznowionej w Szkocji Szkole Podchorążych.

Dnia 17 października 1942 roku przybył po raz pierwszy do wznowionej w Szkocji Podchorążówki — Naczelny Wódz. Po zlustrowaniu kwater głównego obozu gen. Sikorski odwiedził był pluton lotników, którzy w naszej Szkole przechodzą ogólne przeszkolenie przed nominacją.

Dnia następnego wizytował Szkołę gen. Cory, oficer łącznikowy Dowództwa Brytyjskiego do Armii Alianckich. Pośród gości znajdował się też, jako gość I Korpusu Panc.-Mot. major Armii Amerykańskiej, Szymański, zadziwiający swą nieposzlakowaną polszczyzną. Gościliśmy więc owego dnia nie tylko znakomitego przedstawiciela generalicji brytyjskiej, lecz zbiegiem okoliczności, wybitnego wojskowego, syna tak nam bliskiej i drogiej — bliskiej mimo przestrzeń — Polonii Amerykańskiej.

Koledzy, wychowankowie tych kursów — reprezentują wszystkie ziemie, wszystkie stany, wszystkie zawody. I najprzeróżniejsze drogi z Polski na zachód, aby powtórnie schwycić broń. Wiek każdorazowych elewów niemniej kalejdoskopowo zróżniczkowany. Od 19 letniego ucznia przemyskiego gimnazjum do inżyniera z Białegostoku. Nie brak i przedstawicieli emigracji. Przede wszystkim: Polacy z Francji. Nie brak uczestników wielu kampanii. W Polsce, we Francji. Na jednym z kursów była cała drużyna podhalan, uczestników norweskich bojów Brygady Podhalańskiej. Tym samym — tu i ówdzie —na piersiach poniektórych elewów już widziało się wysokie odznaczenia bojowe.

Gdy tak spojrzeć po kompanii — widziało się i widzi, zarówno twarze młodziutkich chłopców, mających całe wspaniałe i bujne życie przed sobą, jak i napotyka się jednostki o całkowicie uformowanej sylwecie, które kiedyś, przed wojną zajmowały wysokie stanowiska w życiu cywilnym.

Jest więc dziś Szkoła Podchorążych Piechoty i Kawalerii Zmotoryzowanej na swoim miejscu postoju "gdzieś w Szkocji," poprzez wszystkie odbyte już cztery kursy i aktualny, będący w "robocie" kurs V — nosicielką polskich, podchorążackich tradycyj, tak nieśmiertelnie zapisanych w historii narodu Nocą Listopadową z 1830 roku.

Szkoła rozszerza się i rozwija. Do podstawowego wyszkolenia piechociarskiego — zgodnie z wymogami wojny nowoczesnej — dochodzi wyszkolenie motorowe, które jest obecnie szczególnie ważkie i doniosłe. Ten niewątpliwy rozwój dokonuje się na obcej ziemi, zdala od Kraju, kiedy nas już mijać poczyna rok wojny czwarty, a wypadki na arenie świata rozwijają się naprawdę błyskawicznie.

Niezależnie od normalnych kursów dla żołnierzy wojsk ziemnych — odbyły się już dwa kursy dla wojska niebieskiego: dla lotników. Piloci z nad wielu miast niemieckich, obserwatorzy, radiotelegrafiści, mechanicy, bombardierzy, strzelcy płatowcowi — zdobywają w Szkole naszej tytuł podchorążego, a w dywizjonach awansowani są na podporuczników. Niektórzy z latających wychowanków Szkoły już dziś są na zawsze wpisani w złotą, wieczystą księgę polskiego bohaterstwa.

Pracuje więc dzień po dniu obecny kurs V, a równocześnie są czynione przygotowania do III kursu dla lotników.

Obrachowując niezmożony, konsekwentny i stały rozwój Szkoły Podchorążych w przebiegu tej wojny, poza Krajem, tak daleko od Polski — musi się stwierdzić, że ten rozwój jest piękny i rokuje nader wiele. Nie — daje całkowitą pewność, że pośród wychowanków — uczniów wszystkich kolejno po sobie następujących kursów podchorążówki szkockiej niewątpliwie znajdują się już przyszli dowódcy i instruktorowie tej Podchorążówki, która będzie raz jeszcze zmieniać swe miejsce postoju, ale — nie na jakiekolwiek inne, bo tylko — na Polskę!

WAWRZYNIEC CZEREŚNIEWSKI

Adresy, listy i poszukiwania

WYKAZ Nr. 26

Bay Tanara: Ałtajskij Kraj, Kalmański rejon, sieło Kalmanka, Socjalistyczna /13.2.1943/.

Birn Jadwiga, siostra por. Bronisława: Siewierokazakstanskaja obłast. Krasnoarmiejsko rejon, poczta Nowo-Suchotino, Lenina /13.2.1943/.

Heppe Janina: Noworosyjska obłast, Kargasok. Krasnoarmiejska 8 /13.2.1943/.

Czaplicka Helena z rodziną: Akmolinskaja, Jesilski rejon. poczta Krasiwoje /13.2.1943/.

Górnicka Wanda: Aktiubinskaja obł. Chobdynski rejon, Piatigorka /13.2.1943/.

Jardel Leokadia z d. Gorzuchowska: Turkmenska obłast, Mary 1 Kozacki posiołek /13.2.1943/.

Janczewski Jan: Ambasada Polska, Kujbyszew /13.2.1943/.

Krauze Zofia, żona Leonarda z córką Krystyną /rodzice zmarli/: Jużno-Kazachstan, Suzukki /przypuszczalnie Suzacki/ Czułak, Kurgan. /13.2.1943/.

Kowalik Janina: Siewierokazachstan Kellerowski rejon, poczta Glubokoje /13.2.1943/.

Kwiatkowska Janina z dziećmi, Ryszardem i Krystyną: Pinega, Archangielska obłast, ulica Pierwaja, Murcza 17 /16.2 1943/ /poszukuje kpt. K. Kwiatkowskiego/.

Kaliszek Irena: żona mjra art. Waleriana, Teheran, Obóz Nr. 2 /30.1.1943/.

Neyman Wiktoria i syn Piotr: Siewiero-Kazakstan Presnowskij rejon i sowchoz, Ferma 3 /13.2.1943/.

Orlewska Wanda /z dziećmi i rodzicami, ojciec Lesław/: Noworosyjska, Kargasok, Puszkina 12 /13.2.1943/.

Omilion Jan: Aktiubinska obłast Stacja Emba, Koniozawod Rodniki /13.2.1943/.

Rzepecki Seweryn, Bronisław, Leokadia /z rodziną — razem 8 osób/: Kustanajskaja obł. Iryck rej. Przysiołek Waskowka lub Wesoły Padoł /13.2.1943/.

Petecka z córką /siostra Rudkowskiego Romana/: Semipałatynsk ul. Stepnaja 20 /13.2.1943/.

Tukanowicz żona ppłk. lek. Felicjana: Teheran /30.1.1943/.

Wierzbicka Filipina, żona ppor. Juliana: Teheran /30.1.1943/.

Wileniec Jadwiga: Akmolinsk, Cegielna 2 /13.2.1943/.

Zawistowska Stefania: Akmolinskaja, Szczuszynski rejon, Nikołajewski sjelsowiet, poczta Rajgorodók /13.2.1943/.

Zalewska Franciszka: Kustanajskaja obł. Pieszkowski rejon, poczta Pieszkowka, Kołchoz Telmana /13.2.1943/.

Wójcikowska Alicja: Jużno-Kazachstan, Frunzewskij rejon, stacja Sauran, sieło Czernak /13.2.1943/.

WYKAZ OSÓB POSZUKIWANYCH PRZEZ RODZINY LUB ZNAJOMYCH

przebywających w Rosji lub w Teheranie.

Osoby te, jak również ich znajomi posiadający bliższe dane o zainteresowanych, proszeni są o przesłanie ich do Wydziału Rodzin Wojskowych /Polish Military Families Office/, 5, West Halkin Street, London, S.W.1.

Borkowski Stanisław, kan. — przez żonę Marię, Teheran /20.12.42/.

Graff Tadeusz ppłk. 29. p. art. 1. Grodno poszukuje siostra Aman Graff Maria Kustanaj Nadbereżna 13 /31.1.43/.

Heydel Franciszek rtm. /z Buczacza/ przez Świdrygiełło Teresa — Iran Paiforce P.F. /21.12.43/.

Jagielski Marian Stanisław pchr. był w 1941 w Anglii w piechocie lub lotnictwie — poszukuje ojciec Józef, Iran Paiforce P.F. /21.12.43/.

Kaliszek Walerian major art. — poszukiwany przez żonę Irenę w Teheranie /30.1.43/.

Kwiatkowski K. kpt. — poszukiwany przez żonę Janinę i dzieci Ryszarda i Krystynę w Rosji /16.2.43/.

Kensch Mendel kapr.

Pankowski Janusz por. mar. — przez siostrę Zulę w Rosji /11 i 20.11.42/.

Świdrygiełło Władysław por. — przez Świdrygiełło Teresę 6. Iran Paiforce P.F. /21.12.42/.

Tukanowicz Felicjan dr. lekarz — był w Rumunii poszukiwany przez żonę w Teheranie /30.1.43/.

Waligóra Andrzej — przez ojca Władysława, Teheran /6.9.42/.

Wierzbicki Tadeusz ppor. baloniarz syn Juliana rocznik 1906 — poszukuje żona Filipina /30.1.43/.

Woliński Franciszek kpt. przez Frankiewicz Annę /2 Iran Paiforce P.F./.

Zawadzki Alfred por.

LISTY Z ZSRR I IRANU

Polski Czerwony Krzyż jest w posiadaniu listów lub wiadomości z ZSRR i z Iranu, które nie mogą być doręczone odbiorcom z braku adresów.

Uprasza się o podanie adresów lub posiadanych informacji o poszukiwanych osobach do P.C.K., Wydział dla Spraw Polaków w ZSRR, 34, Belgrave Square, London. S.W.1. **powołując się na datę lub numer "Polski Walczącej."**

WIADOMOŚCI Z ZSRR

dla Bank Margerita o mężu, dla Hrycek Władysław ur. 1901 od Hrycek Mikołaj.

LISTY Z ZSRR

dla Bałysz Włodzimierz, syn Andrzeja od Burec Wincenty, dla Bohdanowicz Zbigniew od Staszak Jan, dla Czapiga od Rejs Roman, dla Falinski Tadeusz od Nowak Róża, dla Fuks Kazimierz od Kalinowski Izydor dla Garwicz Andrzej od Garwicz Maria, dla Goroczko Danka od Widota Stanisława, dla Gusiew Wasyli od Gusiew Matriena, dla Kokoszynski Henryk od Kokoszynska Katarzyna, dla Kokotko Stanisław od Berger Alina, dla Konarski Józef od Komosinska Katarzyna, dla Kozar Jan ur. 2,11.1900 od Kozar Julia, dla Kulikowski Mieczysław od Rachman Szura, dla Landa Salomon od Landa E. H., dla Maliszewski Edward od Uszynska Maria, dla Markiewicą Edward od Batura Walera, dla Michalczyk Oswald od Michalczyk Anna, dla Pawlicki Zenon od Iljenski M., dla Piatowski Sylwester od Lusi, dla Podolski Bolesław od Podolska Jadwiga, dla Raszka Jan od Raszka Józef, dla Sawicz Józef od Staniewicz Feliks, dla ks. Siepak B. od Mierzwinska Olga, dla Silder Lotte od Altman A. /podpis Adzik/, dla Skrobot Piotr od Skrobot Irena, dla Słomczykowski Mieczysław od Tadeuszyk Stefan, dla Storch Stefan od Schnitzer Arnold, dla Szyszło Józef od Szyszło Zofia, dla Taraszewski Franciszek od Taraszewska Waleria i Wojciechowski Seweryn, dla Wanizenowicz Józef od Natkina E., dla Wortman Stefan od Wortman Genowefa, dla Dr. Wozniakiewicz Mieczysław od Wozniakiewicz, dla Vogel Jonnas od Vogel Leib, dla Zagajski Mieczysław od Dr. Citron Edwin.

WIADOMOŚCI Z IRANU

dla Hermann Jerzy od Hermann Antoni, dla Salagan Józef od Marii, dla Schmelzer Hugon od Schmelzer Jadwiga, dla Wierzbicki Tadeusz od Wierzbicka Filipina.

LISTY Z IRANU

dla Bajorek Czesław od Skwirzynska Zofia, dla Bamforth John od Rozenblit Mieczysław, dla Friedl od Rozenblit Mieczysław, dla Glass Jan b. uczeń liceum Krzemienieckiego od Glass Walerian i Józefa, dla Gryglas Józef od Gryglas Katarzyna, dla Kowalski Tadeusz od Siedlecka Maria, dla Lemko Klara od Szpigelman Maria, dla Lubinska Leokadia-Anna od Lubinski Paweł, dla Martynowicz Włodzimierz ur. 1911 od Martynowicz Anna, dla Perkow M. od Lipowicz F., dla rabina Rabinowicz Dawida od Rabinowicz Gita.

DEPESZE Z ZSRR

dla Szymczak Aleksander od Szymczak Olgi, dla Zandowski Stanisław od Szyrka Hela.

LISTY Z ZSRR

dla Chwalibóg Zygmunt od matki, dla Kwieciński Michał od Kwiecińska Genowefa, dla syna od Ojca ze wsi Chłopiatycze /nazwiska brak/.

DEPESZE Z IRANU

dla Richter od Smycz Antonina.

WIADOMOŚCI Z IRANU

dla Baranowski Leonard o Baranowska Kazimiera, dla Klancewicz Marian o Klancewicz Stanisława, Anatol, dla Zbyszka o Krzywańska Maria.

LISTY Z IRANU

dla Amster Herta od Amster Lila, dla Andykowski Roman dr. od Andykowska Maria, dla Bamforth John od Rozenblit Mieczysław, dla Berger Dawid od Lebler Anna, dla Ciecimirski Stanisław od Ciecimirska Karolina, dla Dzierżanowski Tadeusz od Baniewska Irena, dla Ferenc Ignacy od Ferenc Zofia, dla Miłowski Tadeusz od Staroń Janina, dla Sanejko Józef od Sanejko Teofila, dla Stambois Betty od Baumgarten Józefina, dla Stein Zygmunt dr. od Stein Jetki, dla Szymonowicz Józefa od Szewczuk Ludmiły, dla Turecki Antol od Turecki Joachim, dla Zommerfeld Aleksander od Zommerfeld Władysław, dla Zyga Ryszard od Zyga Maria.

Celem umożliwienia bezwłocznego przekazywania wiadomości i korespondencji nadchodzącej z ZSRR i z Iranu uprasza się wszystkich o réjestrowanie się w PCK przez podanie: pełnego imienia, nazwiska ewentualnego stopnia wojskowego, daty urodzenia i dokładnego adresu, oraz zgłaszania w PCK wszelkich zmian swego adresu.

PCK zawiadamia tą drogą zainteresowane osoby, że jest w posiadaniu adresów następujących dzieci wywięzionych w czerwcu 1941 z kolonii letnich w Druskienikach:

Gostempska Bogusława c. Jana, Koszewnik Irena, Koszewnik Jadwiga c. Antoniego, Warwas Krystyna, Roszkowski Marian i Roszkowski Henryk synowie Wacława, Sienkiewicz Danuta, Zwolski Stanisław i Jan synowie Bronisława Niziński Tadeusz s. Henryka, Opacki Zdzisław, Małyszko Henryk.

W najbliższym numerze "Polski Walczącej" zaczniemy druk drugiego pełnego wykazu osób wyewakuowanych z Z.S.R.R. uzupełniającego kilkunastutysięczny spis ogłoszony w naszym piśmie w ostatnich miesiącach ub. roku i na początku bieżącego roku.

Administracja prosi o wcześniejsze zamawianie dodatkowych egzemplarzy.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £8,264

Dear Sir,

Will you please find enclosed the sum of £2, which we have received from Lt. La Putchard, R.N.V.R., H.M.S. "Cabot," after our performance of "Polish Panorama," for Polish Children in Russia.

Will you kindly convey our sincere thanks to Lt. La Putchard for his gift.

Sincerely yours

Polish Forces Theatre "Lwowska Fala"

* * *

W załączeniu przesyłamy money order na sumę £7.0.0 /siedem funtów/ z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji, tytułem składki za m-c marzec 1943 od pracowników Polskiej YMCA w W. Brytanii.

Z poważaniem

Szczepan Baczyński, kierownik

* * *

Do szanownej Redakcji "Walcząca Polska" w Londynie

Niniejszym zawiadamiam Sz. Redakcję iż dnia dzisiejszego posłałem przez Bank Londyński w Montevideo sumę jednego funta szterlinga, na cel pomocy Polakom w Rosji.

Z szacunkiem

W. Ruszkowski

* * *

Niniejszym przesyłam postal order na sumę sh.20 na pomoc dla Polaków w Rosji.

Juliusz Karniewicz

* * *

Szanowny Panie Redaktorze!

W załączeniu przesyłam "Money Order" na sumę £8.6.6 /osiem funtów, sześć szylingów, sześć pensów/ z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji.

Z poważaniem

Gryko Stanisław

* * *

N.N. na pomoc Polakom w Rosji 10½d.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £19.7.4½ /słownie dziewiętnaście funtów, siedem szylingów, cztery i pół pensa/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £8,264.18.9 /słownie osiem tysięcy dwieście sześćdziesiąt cztery funty, osiemnaście szylingów, dziewięć pensów/, 108 pesetów hiszpańskich, 28 dolarów kanadyjskich, 4 dolary amerykańskie i 15 czerwieńców.

NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Do Redakcji Polski Walczącej,

Z okazji ukończenia Gim-mech. i Kursu Mistrz. składamy najserdeczniejsze podziękowanie Panom Wykładowcom.

Samorzutnie zebraną sumę £7 sh.10 przesyłamy na Fundusz pomocy "Jeńców polskich w Niemczech."

Absolwenci Gim-mech. i Kursu Mistrz. przy 16. *Br. Czołgów*

* * *

Proszę o łaskawe umieszczenie w poczytnym tygodniku Panów na Jeńców Wojennych Wojsk Łączności w Niemczech:

st. szer. Szcz. b.	£5. 0.0
st. szer. Fo W.	£1.10.0
st. szer. At. M.	£1.10.0
st. szer. Cz. M.	£0.10.0
st. szer. Bu. S.	£0.10.0
razem	£9. 0.0

Lieut. T.D. Oficer Oświatowy

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Pan Redaktor "Polski Walczącej,"

Urząd Oświaty potwierdza odbiór 152 książek zakupionych na apel "Polski Walczącej" przez Welfare Oficera Dowództwa I Korpusu Panc.-Mot. dla naszych Junaków na Środkowym Wschodzie.

Książki te będą przesłane wraz z podręcznikami szkolnymi do Konsulatu Polskiego w Jerozolimie, z podkreśleniem przeznaczenia powyższych książek.

Referat Wydawniczy

* * *

P. Tola Korian dla żołnierzy na Wschodzie: M. Karłowicz: Zawód, Zasmuconej. Harasowski: Polish Christmas Carols.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"

W załączeniu przesyłam:

1/ "Dzieje Anglii" André Maurois. 2/ "Kamienica z czerwonej cegły" — Kazimierz Lipnicki. 3/ "Chrześcijański ustrój społeczny,"

z prośbą o wysłanie Kolegom na Bliskim Wschodzie.

Z poważaniem

A. Makowski

* * *

Ludwik Bojczuk, książki dla żołnierzy polskich na Wschodzie: A. Bogusławski: Szopka żołnierska. C. Jeśmian: Północne podróże podhalańskie. Szyszko-Bohusz: Wrześniowym szlakiem. A. Fidler: Dywizjon 303. H. Hodson: Imperium brytyjskie. Kalendarzyk Polaka w Wielkiej Brytanii, 1943.

* * *

Proszę by książki znajdujące się w paczce były wysłane dla żołnierzy polskich na Wschodzie i dołączone do ogólnej zbiórki.

Kreślę się z żołnierskim

"Czołem" X.Y.

Załączone: Nazywam się milion. K. Ujejski: Skargi Jeremiego. P. Skarga: Proroctwo. R. Umiastowski: 12 mil do Warszawy . . . 30 mil do Paryża. Walki w obronie granic. L. Hart: Obrona dynamiczna. A. Bogusławski: Polna kochanka.

* * *

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Przesyłam na ręce "Polski Walczącej" kilka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Faczyński

Załączone:

B. Prus: Omyłka. P. Washington: Eagles in Exile. Z. Grabowski: Anglia — wyspa nieznana. Derek du Pré: When Poland Smiled. J. A. Rymsza: Świty nad drogą trudną. London's Hour. Geographical Magazine. Nowa Polska /zeszyt I i II/.

W maju odbędzie się

ZJAZD CHEMIKÓW POLSKICH W WIELKIEJ BRYTANII

połączony z odczytami i zwiedzaniem zakładów przemysłowych.

Przewiduje się również opracowanie szeregu referatów, dotyczących polskiego przemysłu. Dla umożliwienia pobytu i korzystania z bibliotek w Londynie, wszyscy koledzy, którym Komisja Zjazdowa powierzy przygotowanie referatu, otrzymują uzupełnienie poborów za okres do 4-ech tygodni, a wojskowi również poparcie dla ułatwienia przyjazdu.

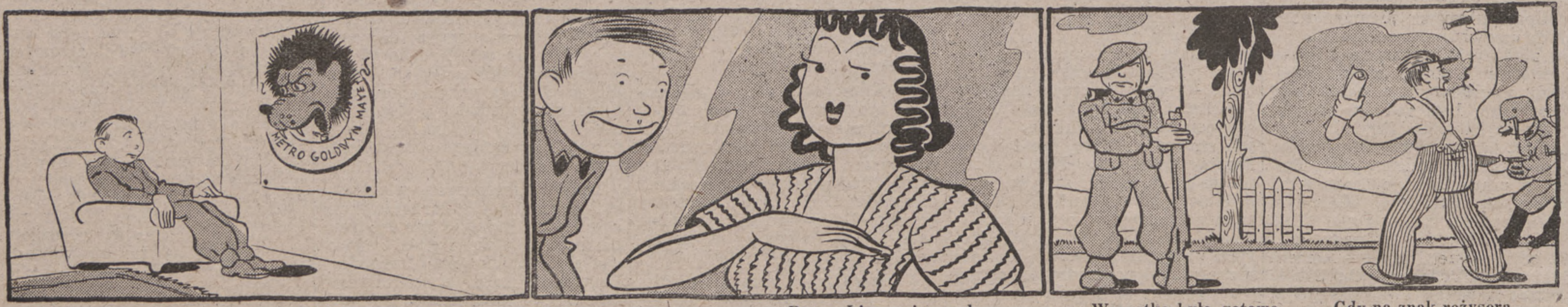
Koledzy zgłaszający udział w Zjeździe, zechcą podać: 1. specjalność fachową, 2. nazwy zakładów w których pracowali, 3. czy mogą podjąć się opracowania jakiegoś działu przemysłu polskiego? 4. aktualny adres.

Zgłoszenia prosimy kierować do 5. kwietnia 1943, pod adresem: S. Namysłowski, Sekretarz Sekcji Chemicznej, 43, Lowndes Sq., London, S.W.1.

Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



Po tej całej historii
Tak już znano Walusia—

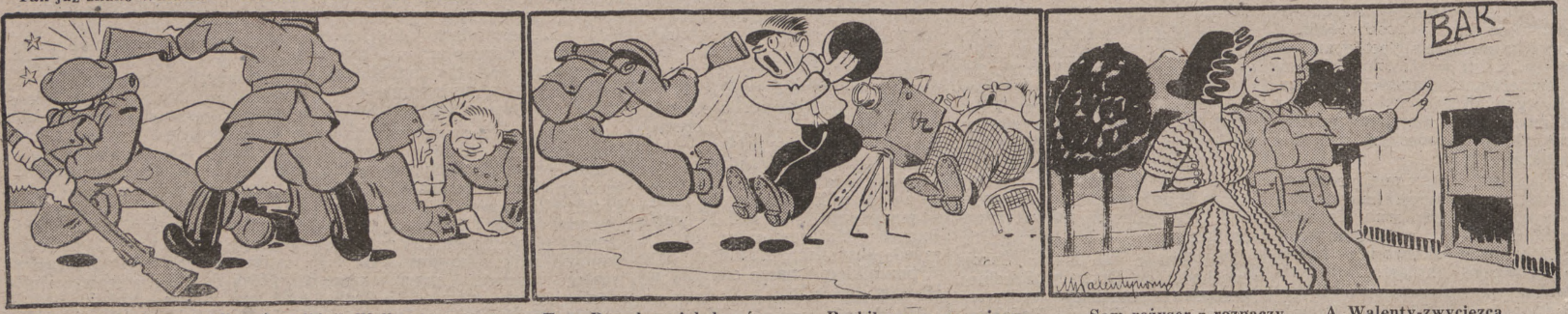
Że sam Goldwyn na tydzień
Kontrakt zawrzeć z nim musiał.

Film-reportaż kręcono
Z życia sławnych żołnierzy,

Puppa Lia w nim grała.
Tytuł brzmiał: "Bohaterzy."

Wszystko było gotowe,
Waluś czuwał na warcie

Gdy na znak reżysera
Rozpoczęto natarcie.



Tak się jednak rozgrzali
Podczas walki aktorzy—

Że solidnie Walkowi
W łeb ktoś kolbą przyłożył.

Tego Pompka miał dosyć.
Za mną—krzyknął—bić wiara!

Rozbił wroga na miazgę
I filmowy aparat.

Sam reżyser z rozpaczy
Potem rannych dobijał,

A Walenty-zwycięzca
Poszedł pić z Puppą Lia.

SPIS RZECZY:

Allied Service Ball

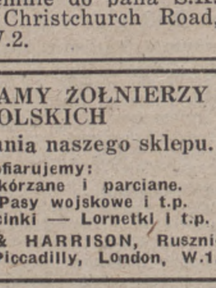
W dniu 8-go kwietnia r.b. w Porchester Hall, Porchester Road, Bayswater, London, W.2. odbędzie się "ALLIED SERVICES BALL," którego dochód przeznaczony jest na Fundusz Dobrobytu Żołnierza /Welfare/.

Początek godz. 18.30. Pierwszorzędna orkiestra, występy znanych artystów brytyjskich, loteria fantowa, bar i bufet, nagrody za walc i t.d.

Ceny biletów: Wojskowi 2/6d, osoby cywilne 3/6d, zaś w dniu 8-go kwietnia: wojskowi 3/6d, osoby cywilne 4/6d.

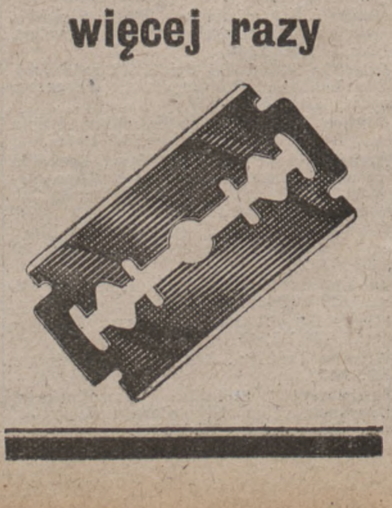
Informacji udziela Wydział Spraw Dobrobytu Żołnierza, 1, Hill St., London, W.1. telef. GROsvenor 2244.

URZĄD OŚWIATY I SPRAW SZKOLNYCH,
Buckingham Palace Mansions,
Buckingham Palace Road,
London, S.W.1.
Tel.: SLO 0481/2.
zawiadamia o wydaniu podręcznika:
IGNACY CHRZANOWSKI
HISTORIA LITERATURY NIEPODLEGŁEJ POLSKI
/965—1795/ z wypisami.
Str. 740. Cena: 10sh.
Zamówienia można kierować do Urzędu Oświaty, załączając przekaz pieniężny.



Żołnierze-ochotnicy ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i Kanady, którzy pragną przesłać pozdrowienia krewnym i przyjaciełom do USA i Kanady, za pośrednictwem prasy polsko-amerykańskiej i polsko-kanadyjskiej oraz polskich programów radiowych — mogą przesłać do Wydziału Spraw Dobrobytu Żołnierza, 1, Hill St., London, W.1. w/g następującego wzoru: 1. Własne imię i nazwisko. 2. Imię, nazwisko i adres osoby czy osób w USA i Kanadzie. 3. Treść życzeń po polsku lub angielsku. 4. Nazwę gazety lub godziny radiowej.

KTOKOLWIEK z zainteresowanych Polaków życzyłby sobie NOWY TESTAMENT lub EWANGELIĘ ŚW. JANA w języku POLSKIM proszę się zwrócić pisemnie do pana S.K. Hine, 110, Christchurch Road, London, S.W.2.



WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.